

Przypowieści o starcu Zosimie

Zanotowane przez Annę Zubkową

Pod redakcją Władimira Antonowa
Tłumaczenie: Irina Lewandowska

Ten zbiór zawiera autobiograficzne przypowieści jednego z Boskich Nauczycieli, znanego również jako Ngomo. Te przypowieści mówią nam tym najlepszym, co miało miejsce w historii rosyjskiego chrześcijańskiego monastycyzmu.

Materiały zebrane w tej książce można uznać za jeden z podręczników życia duchowego dla wszystkich, którzy chcą stać się lepsi przed obliczem Boga.

Spis treści

Przypowieść o modlitwie, pokucie i cudach czynionych przez Boga.....	4
Przypowieść o życiu duszy na Dłoni u Boga.....	13
Przypowieść o tajemnicy modlitwy Jezusowej i osiąganiu wewnętrznej ciszy	35
Przypowieść o Bożej pomocy i o tym, jak pomagać ludziom.....	46
Przypowieść o dobru: dobru uczynionym — i dobru nie uczynionym	54
Przypowieść o Świątyni	68
Przypowieść o pokorze i życiu zakonnym.....	80
Przypowieść o śmierci i zmartwychwstaniu.....	106

Przypowieść o modlitwie, pokucie i cudach czynionych przez Boga

*Gdy człowiek potknął się
i próbuje się podnieść —
Bóg zawsze
wyciąga do niego pomocną dłoń.
A jeśli człowiek upadł i wciąż leży —
Bóg musi czekać.
Pomoc przychodzi wtedy,
gdy poszukujący zbawienia
trudzi się nieustannie.*
Ngomo

W pewnym klasztorze żył starzec Zosima. I krążyły pogłoski, że dzięki jego modlitwie następują uzdrowienia oraz dokonują się cuda.

Stąd wielu ludzi napływało z odległych miejsc, aby prosić go o pomoc.

Toteż bracia klasztorni byli dumni, że ich klasztor ma takiego starca.

Jednakże wielu też zazdrościło: dlaczego Bóg nie słyszy ich modlitw, ilekolwiek oni się modlą? Przecież tyle pokłonów kładą — wszystko na próżno! Natomiast modlitwy starca — Bóg z jakiegoś powodu spełnia...

Więc jeden młody nowicjusz postanowił wywieźć u starca Zosimy: jak on dokonuje cudów, dlaczego Bóg go słyszy? Starzec jest dobry, a nuż nauczy?...

Przyszedł do starca i pyta:

— Dlaczego dzięki twoim modlitwom dzieją się cuda, a dzięki naszym — się nie zdarzają? Naucz

swoich tajemnic! W końcu umrzesz — i nie będzie nikogo, kto mógłby sławić klasztor!

Starzec spojrzał z czułością i mówi:

— Trudno to wytłumaczyć!... Przecież ja — jakbym w ogóle się nie modlił...

Potrzebne tylko, aby w sercu ludzkim było zapalone światło, podobne do światła świecy albo do tego, które jarzy się przed ikoną w lampce oliwnej!

To światło pochodzi z miłości.

I można poszerzać to światło duszy w nieskończoność, niczym światło słoneczne!

Wtedy właśnie — pojawia się Wielka Światłość Ducha Świętego, Który jest gotów pomóc! I w tym Żywym Boskim Świetle wszystko jest widzialne, jakby nie było ścian celi ani wież klasztornych. W Nim każde ludzkie ciało jest widoczne na wskroś i dusza — jest również klarowna z dowolnej odległości.

Tak właśnie się dzieje: jak tylko zacznę wypowiadać słowa modlitwy do Ducha Świętego — i On jest tutaj! Płynie Rzeka Światła Bożego i wszystko Sobą ogarnia!

Aczkolwiek to Światło rozumie miłość serca, a nie słowa klepane!

Pytasz, jak dzieją się cuda?... Otóż, łączy się dusza z tym Światłem — i już nie wiem: gdzie jest moja miłość, a gdzie — Miłość Boża!

W Rzece tego Światła są Ręce. One są niby moje, ale jednocześnie nie w pełni moje...

Widzę te Boże Ręce, Które wykonują Swoją Pracę! Tak jak ręce oracza lub kucharza wykonują swoją robotę, tak samo trzaskają się Ręce Ducha Świętego!

Te właśnie Ręce mogą też leczyć. Jeśli chce Duch Święty, wtedy mogę tymi Rękoma — oczysz-

czać ciała ze skalania i schorzeń. A jeśli On nie chce, to nie mogę poruszyć nawet koniuszkiem palca.

W tym Boskim Świecie w ciele chorego są widoczne choroby, a w duszy — przewiny.

Jednak nie każdą duszę można oczyścić, nie każdemu człowiekowi udaje się pomóc...

Przecież najpierw należy nauczyć duszę miłości! Inaczej nie wykluczone, że dusza później zostanie dłużnikiem Boga z powodu tego cudu!

... Starzec skończył mówić i uśmiechnął się łagodnie.

Tymczasem młody nowicjusz, przestraszony, upadł na kolana i wtulił czoło w podłogę... A potem, przeżegnawszy się ze zdwojoną żarliwością, wyskoczył z celi i uciekł...

Starzec Zosima cicho westchnął: więc przyszedł znów nie ten człowiek, o którym mówił Bóg... Nie zechciał nowicjusz się dowiedzieć o ciepłe serdecznym, o sercu duchowym...

A przecież minęło już tyle lat...

* * *

Przychodziło do starca Zosimy mnóstwo osób proszących o pomoc.

I starał się on udzielić jej każdemu: nie tylko uzdrowić ciało lub rozwiązać problem w życiu, ale przede wszystkim — wyprostować ścieżkę duszy przed obliczem Pana Boga.

Oto pewnego razu przyszedł do niego bogaty kupiec i prosi o uzdrowienie swojej córeczki:

— Jestem zrozpaczony! Jesteś moją ostatnią nadzieją, święty starcze! Pomóż: dziecko umiera!

— Nie ja — uzdrawiam! To Pan — pomaga każdej duszy!

Jak Pan pomaga? Poprzez ludzi żyjących na Ziemi, między innymi.

Czy słyszałeś o Jezusie Chrystusie? Poprzez Niego — Bóg pomógł wielu ludziom.

A poprzez ciebie — czy Bóg komuś pomógł?

— Grzeszny jestem, nawet nigdy o tym nie myślałem, starcze!... O zysku, o interesach ciągle myślałem...

— Tak więc — pomyśl teraz!

I najpierw zawsze się zastanów: czego Pan od ciebie chce?

Teraz idź do domu, twoja córka wyzdrowieje!

I załóż bezpłatny szpital za swoje pieniądze, wezwij tam dobrych lekarzy — aby pracowali dla Boga!

A gdy córka już będzie w pełni zdrowa — koniecznie ją do mnie przyprowadź!

... Ocierając łzy, kupiec zaczął dziękować.

A starzec rzekł z czułością:

— Pospiesz się, aby uczynić w swoim życiu to dobro, o którym niegdyś zapomniałeś.

I nie zapomnij o tym w przyszłości — aby coś gorszego się nie wydarzyło!

Bóg ci pomógł — a więc pomóż też innym!

I naucz się rozumieć: co jest dobrem? W jaki też sposób można go czynić?

Może dla kogoś też twoje słowa i czyny będą Ręką pomocy, wyciągniętą od Boga! Przecież Bóg poprzez wielu ludzi czyni dobro, dokonuje cudów!

*** * ***

Po upływie jakiegoś czasu przyprowadził kupiec swoją uzdrowioną córeczkę do starca.

Dziewczynka weszła do celi — ale zapomniała, jak nauczono ją dziękować. I mówi:

— Czy to ty mnie uzdrowiłeś, dziadku? Dziękuję ci! Chorowałam-chorowałam, ciągle chorowałam, a teraz — jestem całkowicie zdrowa!

— Dobrego zdrowia, dziecinko! Otóż to nie ja, ale Bóg cię uleczył! Powinnaś więc Jemu zawsze dziękować!

— Tak, wiem! Bóg jest dobry! — pokiwała dziewczynka.

— A teraz też ucz się być dobrą, jak Bóg! Staraj się!

— Czy słyszysz jak serduszko w twojej klatce piersiowej puka? To Bóg przypomina ci o tym, że dusza jest stworzona dla miłości i dobroci!

Więc ucz się — być czułą i przyjazną dla wszystkich! Pomału ucz się pomagać wszystkim!

Póki jesteś mała — twoja pomoc jest niewielka, jednakże jest bardzo ważna! A gdy dorośniesz — wtedy będziesz w stanie pomóc wielu ludziom!

— Wszystko zrozumiałam, dziadku! Przez długi czas czułam się bardzo źle, ale teraz — dobrze! I innym też będę się starać czynić dobro!

Dziewczyna podbiegła do starca Zosimy i objęła go.

... Od tego czasu minęło wiele lat. Ale dziewczynka nigdy nie zapomniała, że zgodnie z Wolą Pana, właśnie dla kultywowania miłości i dawania jej innym — człowiekowi zostało podarowane życie na Ziemi! I dzięki temu — jej duchowe serce otworzyło się, a następnie poszerzało się coraz to bardziej! Więc żyła, otaczając miłością-troską wszystko i wszystkich.

* * *

Pewnego razu przyszła do starca Zosimy kobieta w średnim wieku — i płacze, błaga:

— Pomóż mi odzyskać miłość mojego jedynego syneczka! Poświęciłam mu całe życie, niczego mu nie odmawiałam! Ale oto dorósł i nawet nie chce o mnie pamiętać!... Zostałam sama! Czuje gorzkość, że za wszystko, co dla niego uczyniłam, płaci mi niewdzięcznością! Nie mogę powstrzymać gorzkiej urazy, nie potrafię nie popadać w przygnębienie!

— Nie martw się! Zastanów się najpierw: czy kochałeś swojego syna tak, jak Pan chce, abyśmy kochali ludzi?

Jeśli dzieci jedynie otrzymują dobra od swoich rodziców, a nie są nauczani troszczyć się o innych — wówczas wyrastają na dzieci, które nie pamiętają dobra, są niewdzięczne!

Przecież miłość nie polega tylko na tym, aby sprawiać człowiekowi przyjemność!

Nie zawsze to, co przyjemne jest korzystne dla duszy! I nie zawsze to, co korzystne — jest przyjemne!

Wszak czynienie dobra — to wcale nie znaczy, by człowiekowi zawsze podawać to, czego chce!

Nie wolno po prostu spełniać cudze zachcianki! To przynosi krzywdę duszy, a nie korzyść!

Trzeba, aby każdy — nie tylko sam dawał miłość, ale także w innych ludziach budził chęć jej dawania, czynienia dobra! Ponadto należy powstrzymywać w sobie gniewne słowa, tylko dobre słowa wymawiać!

Źle wychowałeś swojego syna! Rozpieściłaś go, folgując jego zachciankom! Codziennymi wyrzutami i nudnymi pouczeniami odwróciłaś go od miłości! Odciągnęłaś go od dobrych przykazań!

Mówię ci teraz smutne słowa — aby one, jak gorzkie leki, pomogły ci uświadomić twoje błędy i spróbować je naprawić!”

Kobieta zaszlochała jeszcze mocniej:

— Czy Pan wybaczy mi moje grzechy?!

— Przebaczenie następuje wtedy, gdy człowiek zrozumie, czym grzeszył — i się zmieni! Poza tym — gdy skorygujesz swoje niewłaściwe uczynki w miarę możliwości!

Dopiero wtedy, gdy sama się zmienisz, potrafisz zmieniać coś wokół siebie na lepsze!

Właśnie teraz jest dla ciebie nadzieja! Wkrótce twój syn do ciebie przyjedzie — i poprosi o radę i pomoc. Zakochał się w owdowiałej kobiecie, starszej od siebie. Ma już dziecko od poprzedniego męża. Przez tę miłość — Bóg chce pomóc twojemu synowi nauczyć się nie o sobie, lecz o innych myśleć i troszczyć się!

Człowiekowi nie jest łatwo zmieniać siebie... Nie jest łatwo zrobić tak, aby z małej miłości — narodziła się wielka miłość wszechobejmująca!

Szczęście dziecka tej kobiety, powinno okazać się szczęściem dla was wszystkich!

... Tak powiedział — a kobieta z nadzieją i w zadumie nad tym, co najważniejsze udała się do domu.

*** * ***

Oto tak właśnie starzec Zosima rozmawiał z ludźmi.

Ale zdarzało się też, że człowiekowi o niedobrych intencjach Zosima nie pozwalał nawet przekroczyć progu swojej celi...

I dzięki temu — ludzie też się zastanawiali... Przecież jeśli święty starzec nie dopuścił do siebie, a więc Bóg też odrzuca tego człowieka ze względu na jego życie niegodziwe...

Wtenczas taki człowiek sam przerażał się swojej nieczystości — i się zmieniał. A potem znów przychodził do starca po radę — teraz już szczerze: jak może odpokutować za swoje grzechy?... I wtedy — starzec Zosima uprzejmie przyjmował przybysza, udzielał prostych i jasnych rad.

Jednak, żeby spełniać te rady, trzeba było siebie przeobrażać: nie żyć beczynnie, ale zacząć z wielką gorliwością się trudzić — zarówno duszą, jak i ciałem. Duszą — pielęgnować w sobie miłość, eliminować gniew, nienawiść, zazdrość, przygnębienie. Ciałem — pracować, aby uczynić życie innych choć trochę lepszym.

Nawet zdesperowanym osobom starzec mówił słowo wspierające i uświadamiające:

— Nie ma grzechu ani wady, której człowiek nie mógłby się pozbyć!

Przecież nawet gdy człowiek doznał upadku duchowego — Bóg jest zawsze gotów jest pomóc temu, kto się potknął!

A choroba czy inne nieszczęście w życiu — jest dane człowiekowi w celu uzdrowienia jego duszy i ciała! Te schorzenia i problemy są pouczeniami dla tych, którzy jeszcze nie zrozumieli Zamysłu Boga — wobec nas, ludzi. Daje to możliwość, by oczyścić duszę!

Słabość i niemoc cechuje człowieka na tym świecie, dopóki nie pozna Miłości Bożej — Największej Mocy, Która może być blisko niego i w nim zawsze!

Jak dobrze by było, gdyby każdy człowiek żył z Miłością Chrystusową w swoim sercu!...

Pewnego razu przyszedł do starca Zosimy mężczyzna już nie młody, ale jeszcze nie stary. Miał mocne ciało, a i duszę nie słabą. Aczkolwiek zagubił się on wśród spraw, które nie przynosiły duszy satysfakcji. Od młodości marzył o czymś wielkim i wzniosłym, odważnie żył walcząc o prawdę... Ale nie zawsze rozróżniał, gdzie jest prawda... I wiele jego planów się rozbiło, na wielu szczytach życiowych przychodziło do niego zrozumienie, że wcale nie to trzeba było robić.... Właśnie dlatego — teraz było mu ciężko. I nie wiedział on: jak dalej żyć i w jakim celu...

Mężczyzna ten opowiedział starcu Zosimie swoją historię. Podobna ona była do wielu innych, których starzec miał możliwość wysłuchać... Niemniej była wielka różnica, gdyż człowiek myślał nie o sobie, ale starał się żyć dla innych, próbował im pomagać!

— I tak minęło prawie całe życie... Tyle chciałem zrobić, marzyłem o czymś wspaniałym... Ale w końcu okazało się, że wszystko było na próżno: nic nie potrafiłem zmienić, tak naprawdę nikomu nie pomogłem... I nie wiem, jak mam dalej żyć... Naucz, jeśli możesz..., — tymi słowami podróżnik zakończył swoją opowieść.

— Nie było to wszystko nadaremne! Dzięki temu, co robiłeś w życiu, stawałeś się mądrzejszy i silniejszy! W ten sposób Bóg prowadził cię do Siebie!

A więc czy jesteś teraz gotów poświęcić swoje życie wyłącznie Panu?

... I starzec Zosima zaczął opowiadać temu człowiekowi o przeznaczeniu ludzkiego życia, o Największej Miłości Boskiej...

I ten człowiek został u starca. I pobierał u niego nauki. Poznawał — ciszę serdeczną, w której rozpala

się ogień miłości. Uczył się — łączeniu się z Duchem Świętym. Nauczał się — wszelkiej pracy, wykonywanej w świadomej jedności z Bogiem i będącej Wielką Służbą dla Niego.

* * *

Czy wielu potrafił pomóc starzec Zosima? — Bóg tylko wie... Ale jego słowa miały szczególną moc. Przy czym udzielone przez niego rady nie ścierały się z pamięci. Osoby te zwracały wzrok duszy ku Bogu, a swoje działania kierowały ku pomocy ludziom. I dzięki temu — Bóg mógł uczestniczyć w życiu tych osób.

Przypowieść o życiu duszy na Dłoni u Boga

W jednym klasztorze żył starzec. Miał na imię Zosima. I powiadali ludzie, że ten starzec ma tak czystą duszę, że Bóg obdarzył go łaską czynienia różnych cudów. Mówiono, że i cudowne uzdrowienia następują zgodnie z jego słowem, i losy ludzi się zmieniają, i dusze się przemieniają! Zatem wielu ludzi przychodziło do starca z prośbami...

* * *

Do małego miasteczka ujezdowego, w którym znajdował się ten klasztor, po typowej dla Rosji, pełnej wybojów, pokrytej kurzem drodze, wszedł człowiek.

Nie był już młody, ale jeszcze nie stary. Miał mocne ciało, wzrost znacznie powyżej średniego. Siła

widać w ciele tkwiła nieprzeciętna. A w duszy — niepokój i załamanie były, odczuwalne dla uważnego spojrzenia.

Przy drodze na stercie brudnych szmat siedział żebrak i prosił wchodzących do klasztoru o jałmużnę.

Mężczyzna zapytał tego żebraka, gdzie można by było wynająć pokój lub znaleźć gospodę? I dał mu rubel — pieniądze w tamtych czasach duże.

Żebrak, gdy ujrzał rubel, nagle się zmienił! Jakby coś w nim na moment obudziło się ze zdumienia! I rzekł:

— Lepiej idź do ciotki Aksynii, to u niej milej będzie! W gospodzie — tam są pijackie burdy, hałas... A u niej — często się zatrzymują ci, którzy przyjeżdżają do starca Zosimy. Aksynia to ma dobre serce! Gdy nie jestem pijany, poproszę ją o zupę — tak należy! Zupa u niej smaczna, choć jest chuda zawsze...

— Poczekaj, do jakiego takiego starca? Wcale nie zamierzam do starca... Zresztą — wszystko jedno! A jak dostać się do twojej Aksynii? Jak do niej się zwracać?

— Aksynia Dimitrowna. Powiedz, że Nikodem wysłał do niej!

Na tym, myśli żebraka przekierowały się na rubel i wódkę ze znaczną przekąską...

* * *

Podróżnik podszedł do domu Aksynii. Zapukał.

Otworzyła lekko pulchna kobieta w średnim wieku. Twarz jej była rozświetlona od wewnątrz spokojną dobrocią. Patrzyła czule, jak gdyby spotkała starego znajomego, na którego czekała.

— Czy można by było u Pani, Aksynia Dmitriewna, wynająć pokój? Powiedziano mi, że Pani wynajmuje pokoje...

— Czemu nie? Dobry człowiek — zawsze jest mile widziany!

— Dlaczego to Pani Aksynia Dmitriewna myśli, że jestem dobrym człowiekiem? Może, wręcz przeciwnie — odparł podróżnik z pewnym sarkazmem i głęboką goryczą.

— Cóż, jeśli pan jest niezbyt dobry, to proszę chociażby powiedzieć, jak ma pan na imię? — bez lęku delikatnie skierowała rozmowę na żartobliwy ton gospodyni.

— Mówcie do mnie Mikołaj.

Podróżnik imieniem Mikołaj obejrzał przytulny, czysto i prosto urządzonego pokój. Zapłacił za lokum za tydzień z góry, dając dwa razy więcej pieniędzy niż kwota, którą określiła mu gospodyni.

Chciał już przejść do swojego pokoju, ale Aksynia powiedziała delikatnie:

— Proszę, aby pan nie szedł do starca Zosimy pierwszego dnia! Warto zastanowić się w spokoju, co i jak, wybrać się na spacer nad rzekę. Aby słyszeć jego słowa — trzeba wewnątrz siebie się uspokoić, chociażby trochę.

— Co to za starca tu macie? Ja wcale nie do niego... Nie chodzę po klasztorach! Nie pomaga Bóg ludziom! Spójrzcie — co wokół się dzieje!... E-e, nie ma co o tym gadać!...

W tym momencie rozmowa została przerwana: ktoś zapukał do drzwi, Aksynia otworzyła.

* * *

Weszła blada, zmęczona kobieta z dzieckiem na rękach. Dziecko nie było już małe i prawdopodobnie ciężko chore. Był to chudziutki chłopiec w wieku około pięciu lub sześciu lat. Dziecko było przytomne, ale jakby nie do końca, jak gdyby zdolność do życia w tym ciele już w połowie go opuściła.

Kobieta trzymała go na rękach resztkami sił.

— Czemuż pan tak stoi? — zwróciła się do Mikołaja o pomoc Aksynia. Potrzymaj pan dziecko!

Gdy Mikołaj brał chłopca na ręce, dziecko słabo zajęczało i lekko odemknęło oczy. Mikołaj bardzo uważnie i troskliwie zaniósł chłopca do pokoju — obok tego, w którym się rozlokował.

...Zasypiając, Mikołaj słyszał przez sen cichy serdeczny głos Aksynii i stłumione szlochanie kobiety.

— Starzec Zosima pomoże! — uspokajała Aksynia. Nie miej wątpliwości! Rano i pójdziecie! Nic nie szkodzi, że nie ma pieniędzy! W ogóle nie bierze żadnych pieniędzy! Kto chce, ten przekazuje potem darowiznę na rzecz szpitala lub klasztoru. I u mnie — za darmo pomieszkacie. Mam tutaj hojnego gościa! Tak więc — wszystko jedno do drugiego pięknie się ułoży!

* * *

Następnego ranka Mikołaj obudził się od przytłumionych głosów i przygotowań za ścianą.

„Tak... Poleciał mi Nikodem „zaciszne miejsce”!

Jednak nie wiedząc dlaczego, irytacji nie było. A czuło się ciepło w sercu, jak w dalekim dzieciństwie, gdy przez sen słyszał głos matki...

Za oknem jeszcze nie świtało.

Aksynia zapukała:

Przepraszam, panie Mikołaju, dziecko jest chorutkie, nie może iść samodzielnie, a jego matka jest zupełnie wyczerpana! Czy mógłby pan odprowadzić ich do starca?

Mikołaj zgodził się bez wahania. Teraz to odwrócenie uwagi od przytłaczających go myśli wydawało mu się nieoczekiwane i radosne. Poza tym Starzec Zosima od wczorajszego dnia coraz to bardziej wzbudzał jego zainteresowanie.

Mikołaj zawsze pragnął pomagać ludziom. Widział w tym sens całego swojego życia. W tym właśnie też doświadczył największego zawodu w osiągnięciu celów, wyznaczonych dla transformacji ludzkiego życia..

* * *

Na dworze było chłodno.

Mikołaj niósł dziecko na rękach. Kobieta, zdyszana od szybkiego kroku, opowiadała, jak to się stało, że jej syn Iljuszienka uszkodził nogę.

— Może lepiej poszlibyśmy do szpitala? — zapytał Mikołaj. Lekarz obejrzałby i wyleczył! Słyszałem, że jest tu dobry szpital.

— Byliśmy już u różnych lekarzy... Ile pieniędzy poszło — ale mu nie pomogli... Mówią, że potrzebna jest amputacja, a nawet to już może być za późno... A starzec — tworzy cuda od Boga! On — na pewno uzdrowi!

Potem kobieta zaczęła szczegółowo opowiadać o ich życiu i kłopotach...

Mikołaj troskliwie niósł dziecko i prawie jej nie słuchał... Trzymał kruche ciało, w którym ledwie się tliło życie i myślał: „Oto dziecko, które najprawdopo-

dobniej niebawiem umrze... Albo pozostanie kaleką na całe życie... Więc śmierć dla niego, może nawet będzie lepsza... Dlaczego tak? Za co? Dlaczego nic nie da się zmienić w tym strasznym i bezsensownym życiu ludzkim?!... Oto ja sam — dorosła i silna osoba, która nie widzi najmniejszego sensu w kontynuowaniu tego istnienia — będę żył..., a ten chłopiec umrze... Jeśli można by było: tak po prostu wziąć i oddać swoje życie, swoją siłę jemu — aby żył i był zdrowy?... Ale jest to niemożliwe... Więc gdzie jesteś, „Wszechmogący Boże”? Dlaczego do tego dopuszczasz?!... ”

Podeszli do klasztoru.

Mnisi nie chcieli ich wpuścić:

— Przyjdźcie jutro! Wtedy starzec będzie wysłuchiwał proszących. Dzisiaj — nie ma mowy!

Ale Mikołaj pewnym krokiem ich ominął, jakby to nie jego próbowano powstrzymać. Twardo zdecydował, że dzisiaj, po „audiencji u świętego starca”, przekona matkę — i zabierze dziecko do szpitala. Może jeszcze nie będzie za późno...

* * *

Mikołaj szybko przeszedł przez ogród klasztorny do celi starca. Ścieżka do celi była łatwo rozpoznawalna. Została wydeptana przez tłumy przychodzących do starca petentów i wyróżniała się spośród wszystkich innych brukowanych przejść klasztornych.

Mikołaj z dzieckiem na rękach zdecydowanie wszedł do celi. Matka chłopca — podążyła za nim.

Starzec Zosima wcale nie był stary i zniedołężniały, jak to sobie wyobrażał Mikołaj.

Był to smukły mężczyzna wypełniony pewnym szczególnym spokojem. Tylko włosy i broda, które otaczały jego twarz, były całkowicie białe. A oczy...

Mikołaj spotkał się z nim oczami tylko przez chwilę — i zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy wcześniej takich oczu nie widział... Promieniowały ciepłym, niezmaconym i spokojnym Światłem oraz jakąś niezwykłą stanowczością i siłą, pokojem i czułością.

Matka chłopca klękając rozpoczęła swoją opowieść o nieszczęściu ze swoim synem. Lamentowała i prosiła o uzdrowienie chłopca...

Starzec jej przerwał:

— Masz na imię Aleksandra? Idź do kaplicy i módl się, skarbie!

Ta zamilkła zaskoczona i ukloniwszy się pokornie wyszła.

Mikołaj położył dziecko na szerokiej ławce przy ścianie i, nie przeżegnawszy się, ale tylko lekko się kłaniając, chciał wyjść...

— Pomóż mi, Mikołaju! — usłyszał on słowa starca. — Z pewnością zależy ci, aby Iliusza odzyskał zdrowie, prawda?

— Tak — odparł Mikołaj, nie nadążając dziwić się temu, co się dzieje. Przypomniawszy sobie to, co myślał po drodze, niosąc chłopca...

— Chodź tutaj.

Starzec położył dłonie Mikołaja na ciele chłopca: jedną na piersi, druga na jego chorej nodze. Swoich zaś rąk nie cofnął...

... A to, co wtedy się wydarzyło, Mikołaj jeszcze przez dłuższy czas nie mógł zrozumieć...

On sam i wszystko wokół pogrążyło się w Świecie. Było to czyste białe-złociste Światło, podobne do porannego słonecznego... Mikołaj widział, jak łagod-

nie poruszają się strumienie tego Światła... Potem on jak gdyby się wyłączył, jakby zasnął...

* * *

A gdy Mikołaj się obudził, to siedział w kącie celi, a starzec Zosima rozmawiał z matką chłopca. Samego chłopca nie było w celi...

— Owdowiała, powiadasz?... — zapytał starzec.

— Tak, owdowiała, sama piąty rok się tułam... Będę teraz się modlić za ciebie przez całe życie! I nauczę Iluszę za ciebie, naszego zbawiciela, się modlić!...

— Ależ wymyśliła!... Nie ja, Bóg uzdrowił!

— Będę się modlić do Boga!... Będę Bogu dziękować!

— To dobrze jest dziękować!... Teraz nauczę cię, jak twoją pierwszą wdzięczność urzeczywistnić. Oto liścik ode mnie. Pójdiesz do szpitala do doktora Fedora Pantelejmonycza, powiesz, że kazałem ci przez trzy lub cztery miesiące popracować jako opiekunka z ciężko chorymi pacjentami. Wyznaczy ci za to pensję. Będziesz miała za co do domu z Iluszą wracać.

— Dziękuję ci!...

— Poczekaj, wysłuchaj mnie do końca, nie bądź w gorącej wodzie kąpana! Jest tam człowiek jeden, ma na imię Grzegorz. Przeszedł poważną operację. Życie jego ciała zostało uratowane, ale teraz nie ma nogi. A nie chce być kaleką. Już raz próbował pozbyć się życia... Teraz, jeśli uda ci się uleczyć duszę tego człowieka, to będzie to właśnie twoje pierwsze podziękowanie Bogu! A twój syn ci pomoże. Zdarsza się, że gdy chorzy widzą dzieci, to nadzieja na radosne życie — do nich powraca...

— A teraz możecie już iść!...

Iljuszienka, chodź tu! — zawołał starzec Zosima.

... To, co zobaczył Mikołaj, zdumiało go ponad wszelką miarę: do celi z ogrodu klasztornego jeszcze trochę niezręcznie, ale... wręcz wpadł, a nie wszedł, uzdrowiony chłopiec, który w niewiarygodny sposób się przemienił!

Dziecko nie tylko mogło teraz chodzić! Ono dosłownie ocknęło się ze śmierci — i pojawiło się w nim prawdziwe życie — jasne, słoneczne! Rzadko widuje się coś takiego wśród zwykłych, zdrowych ludzi... Jakby radością i światłem z wnętrza wszystko teraz w Iljuszy się świeciło! Jak gdyby to promienne, cudowne Światło, które widział Mikołaj podczas uzdrawiania, było teraz również w ciele chłopca!

Mamo, mamu, jestem zupełnie zdrowy! I noga już mnie nie boli! Mogę nawet biegać!

Oboje z wdzięcznością ukłonili się starcowi i poszli sobie...

* * *

A starzec Zosima stał na progu celi i patrzył jak odchodzą.

On patrzył w ich przyszłość — z czułością i Mocą Bożą.... Widział on mężczyznę o imieniu Grzegorz, leżącego w milczeniu na łóżku... z niewidzącym spojrzeniem bólu i rozpacz... I zobaczył szepczącą mu czułe słowa Aleksandrę, matkę Iljuszy... I widział, jak wpadł do sali szpitalnej, szukając swojej matki, małutki Ilja... I — jak zapalało miłością serce dziecięce, gdy spełniło się jego największe marzenie:

— Mamuniu, mamuniu! Znalazłaś naszego tatuśka! — przepelniony radością wypowiedział Iljusza i z tymi słowami objął Grzegorza... I Grzegorz ze łzami w

oczach objął chłopca... I wróciły do duszy miłość i nadzieja — i uzdrowiły duszę...

Starzec Zosima zobaczył trzech szczęśliwych ludzi opuszczających szpital uzdrowionymi, mimo że mężczyzna szedł o kulach. I widział tych, którzy patrzeli na nich z okien i życzyli szczęścia!

— Ziści się, Panie! Według Twojej Woli — niech wszystko się stanie!... Serca wypełnione miłością, — wypełnią Twoją Wolę!... — wyszeptał starzec Zosima.

* * *

Mikołaj i starzec pozostali w celi sami.

— I często czynisz takie cuda? — zaskoczony, nie ogarniając jeszcze wszystkiego, co się stało, zapytał Mikołaj.

— To bardzo rzadko bywa... Ale w końcu — nie tylko ja, ale także ty, łącząc się z Wolą Bożą, uzdrowialiście Iljuszę! Widać i dla ciebie potrzebne było, aby pełnia Mocy Bożej została przed tobą objawiona!

Idź teraz! Pomyśl o tym, o co chcesz zapytać, dlaczego nie widzisz sensu swojego życia... O tym najgłębszym, co chciałbyś zrobić — pomyśl — a wtedy przyjdź! Jutro przyjdź, jeśli zechcesz, porozmawiamy! Będiesz w stanie czynić to, co marzyłeś zrobić dla ludzi! Potrafisz — ale nie sam, tylko z Bożą Mocą się łącząc!

Idź teraz, jestem zmęczony... — rzekł cicho Starzec Zosima...

* * *

Mikołaj, wracając od starca, myślał o tym, co zaśzło.

Wszystko zmieniło się teraz w jakiś niewiarygodny sposób... Śmierć, o której myślał, jako wyjściu ze ślepego zaułku, o bezsensowności i beznadziei w życiu, nagle się wycofała i — otwierała się dotychczas nieznana przestrzeń...

A teraz musi zrozumieć i sformułować dla siebie: jak żyć dalej?

Niewiarę w istnienie Boga, która w ciągu jego, Mikołaja, niełatwego życia się utwierdziła, tak pozornie łatwo zniszczył starzec...

Ale wiara nie weszła na zwolnione miejsce, bowiem Mikołaj szukał nie wiary, ale jasności zrozumienia i pełni wiedzy.

Wszystkie pytania, które dręczyły go przez cały czas jego duchowych poszukiwań, ponownie w nim się poruszyły.

To były te pytania, które odrzucił, jako z góry nie mające odpowiedzi. Odrzucił — wraz z wiarą w istnienie Boga.

Postanowił wówczas sam szukać sposobów, aby pomóc ludziom stać się szczęśliwymi... I wiele jego przedsięwzięć poniosło całkowitą porażkę... I wielu przyjaciół go zdradziło... I wiele jego świetlnych pomysłów zostało wypaczonych przez jego byłych towarzyszy i obróconych w zło...

I cała ta jego działalność przyniosła wielu ludziom dobro, ale też wielu — smutek i zniszczenia...

... Myśli Mikołaja powróciły do cudu uzdrowienia i do tego Światła, które sam widział: „A jednak istnieje Moc, Która może zmienić ludzkie przeznaczenie? Czy to jest właśnie Bóg? ”

Uświadomił sobie, że jutro znowu powinien iść do starca.

Mikołaj zmierzał do klasztoru, ale wątpliwości i myśli nadal go gnębiły: „Czego się spodziewam? Co zmieniło się od wczoraj, kiedy ujrzałem Promienne Światło, z którym łącząc się starzec uzdrowił chłopca?... Czyżbym chciał się wypowiadać, wynurzyć się? Albo chciałbym znaleźć „wiarę Chrystusową”? Lub zadać swoje pytania? A może odnaleźć zrozumienie sensu mojego życia? Jednak... może rzeczywiście ten stary człowiek zna tę Prawdę, dla której warto żyć na Ziemi i wie — jak?

Już zbliżając się do klasztoru, Mikołaj usłyszał rozmowę matki i córki, wracających od starca.

Matka była dość korpulentną dobrze zbudowaną kobietą, najwyraźniej zamożną.

Krzyczała z oburzenia:

— I czyż nie jest mu wstyd uwodzić ludzi uzdrowieniami, przyciągać poprzez cuda?! Sam przecież — nic nie potrafi! Wokół — jedno oszustwo!

— Dajcie spokój, mamó! — próbowała ją uspokoić córka. Ona przytrzymywała chorą, słabo poruszającą się lewą ręką, zdrową prawą ręką i kontynuowała:

— Przecież mówiłam wam, matko, że to wszystko są bzdury, bajki dla głupców i głupiutkich dzieci! A nie wierzyłyście mi!

Ale matka nadal nie mogła się uspokoić i kontynuowała, zanosząc się z egzaltacji:

— Trzeba też było coś takiego wymyślić! Każdego ranka ugnieść ciasto i to właśnie chorą ręką, upiec chleb i rozdać ubogim! I tak — przez trzy lata! Święty się znalazł! Łotrzyk nad łotrzykami! A do niego — popatrzcie, głupcy łążą po radę!

„Ależ, mam, dajcie już spokój!...” perswadowała jej do rozsądku córka.

... Mikołaj słyszał oddalające się głosy...

Potem długo siedział wśród ludzi, którzy czekali na rozmowę ze starcem, przypatrywał się twarzom wychodzących...

... Kiedy wszyscy się rozeszli, on wstąpił do celi.

A starzec Zosima jak gdyby czekał na niego. Ucieszył się tak, jakby spotkał najbliższego sobie człowieka, jak gdyby przyszedł do niego syn, a nie przypadkowy podróżnik, który nie wierzył w Boga przez połowę życia.

* * *

— Jednak przyszedłeś?

— Przyszedłem...

— A dlaczego przyszedłeś?

— Jeszcze sam nie wiem, może po prostu chciałem porozmawiać... Może zrozumieć, jak żyjesz i po co... Dlaczego robisz cuda?”

— To nie ja dokonuję cudów: Bóg czyni dzieła! Chociaż sam człowiek — również czyni...

— A dziewczyny z chorą ręką — nie udało się dzisiaj wyleczyć?

— Nie udało się — powiedział starzec Zosima z lekkim smutkiem.

— A gdyby posłuchała i ugniatała ciasto przez trzy lata, czy zostałaby uzdrowiona?

— To zależy od tego, jak by to robiła... Gdyby duchowe serce obudziło się, podczas rozdawania chleba głodnym dzieciom, gdyby myślała o tym, jak może pomóc ludziom w ich niedoli, kiedy wyrabiała ciasto, a nie o tym, jak naprawić swoją chorą rękę,

odzyskałaby zdrowie! Ręce, dające dobro i czyniące dobro, zawsze stają się zdrowe!

— Ale ja — i własnymi rękoma i myślami, i wszystkimi moimi uczynkami — przez całe życie starałem się czynić dobro i do tego się dopracowałem, że nawet zacząłem myśleć: czy nie lepiej pozbawić się życia, niż być świadomym niemocy do jakichkolwiek jego zmian na lepsze...

Oto chłopiec, przez ciebie uzdrowiony, myślisz, że będzie szczęśliwy?

Albo podobnie tak, jak wszyscy — dorośnie i w grzechach i wadach zakończy swoją ziemską podróż? Więc w jakim celu go uzdrowiłeś?

— Uzdrowiłem go dla przyszłości, dla miłości! A to, jak i jakim wejdzie w tę przyszłość — to zależy od wielu czynników...

Ty przykładowo, gdy byłeś mały, Boga bardzo kochałeś... I będąc młodym człowiekiem — miałeś też czyste serce!

— Tak, kochałem i wierzyłem... Wierzyłem — ale się wypaliłem!... To było dawno temu. Gorąco wierzyłem i modliłem się żarliwie... Tylko Bóg nie spełniał moich próśb...

A potem zobaczyłem ludzką niedolę i cierpienia — i stwierdziłem, że nie mógł Bóg dobry, wszechmogący i miłosierny — takie piekło dla Swoich dzieci na Ziemi urządzić! I zdecydowałem: to, co jest w mojej mocy, — zrobię sam dla ludzi... Tylko nie wyszło to, co zamyślałem...

— Widzę wiele — z tego, co było z tobą... Żyłeś poprzednio, jak gdyby na łodzi wzdłuż rzeki pod prąd wiosłowałaś. Wciąż pracowałaś i czekałaś, aż dopłyniesz do wielkiego oceanu, a przy płynąłeś tylko do małego źródła, z którego zaczyna się rzeka... Jed-

nak trudziłeś się nie na nie na próżno: twoja siła wzrosła! I umiejętności przybyło, wiele rzeczy poznałeś! Teraz więc możesz skierować łódź we właściwym kierunku. I cała moc rzeki będzie wspomagać twoją siłę. Czy chcesz tego?

— Nie wiem na razie, czego chcę... Dlatego widocznie i przyszedłem do ciebie... Czy potrafisz uleczyć mnie z niewiary i bezsensownej pustki w duszy?”

— Ależ przecież Bóg już uzdrowił cię z twojej niewiary! Gdyby nie uzdrowił, nie przyszedłbyś tu ponownie!

Ale jak zyskać miłość do Pana i poznać ciszę serdeczną — tego mogę cię nauczyć, jeśli sam tego zapragniesz.

— A więc wyjaśnij mi najpierw: dlaczego wróciłem?

— Aby nauczyć się dzieła Bożego razem z Bogiem świadomie czynić, a nie działać tak, jak samemu na myśl przychodzi!

— Powiedz mi jeszcze: ty sam — w co wierzysz?

— Wierzę w Jedyne Boga Ojca Wszechmogącego, Stwórcę wszystkiego — zarówno tego, co widzialne, jak i niewidzialne... I chociaż mówię do ciebie zwykłe słowa modlitwy, ale Boga całą duszą, całym sercem odczuwam. A Jego Obecność jest dla mnie tak samo jasna jak twoja tutaj... Tylko nie wszystkich mogę nauczyć tego samego...

— Czyli widzisz Go?

— I widzę i słyszę...

— Ale ja nie widzę i nie wierzę ci... prawie...

— A teraz widzisz dom Aksynii, w którym wynająłeś pokój?

— Nie widzę...

— A więc ten dom nie istnieje w ogóle?

— Istnieje...

— Czyli nie widzisz teraz, ale mówisz, że istnieje...
je...

Tak samo Boga nie widzisz, nie czujesz Jego miłości... Chociaż On istnieje.

Jezus, gdy żył między ludźmi niby jako zwykły człowiek, — zawsze mógł rozmawiać z Ojcem Niebieskim, Wielką Moc, pochodzącą od Ojca, zawsze mógł odczuwać. I wiele wówczas On dokonał, by pokazać, jak człowiek może żyć na Ziemi. A co najważniejsze, nakazał nam, abyśmy stali się tacy, jak On: „Bądźcie doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski!”
A ilu próbuje?

Dopóki człowiek w przygnębieniu, braku wiary, rozpacz i gniewie utrzymuje siebie-duszę — Bóg jest bezsilny, aby mu pomóc, ponieważ z ignorancji i niewiary człowiek odrzuca Bożą Miłość Wszechmogącą, Pomoc i Jego Czułą Opiekę!

Co zatem może zmienić człowiek na tym świecie?
Od czego mógłby zacząć?

Przed wszystkim samego siebie może poprawić: może oczyścić duszę, napęłnić duchowe serce miłością, żyć nie według swoich życzeń, ale zgodnie z Wolą Bożą. Tylko wtedy — taki człowiek będzie w stanie pomagać swoim bliźnim!

Uczynić to — każdy człowiek może, ponieważ możliwość taka jest mu przez Boga dana.

A wtedy wznosi się dusza, oświetlona miłością serdeczną ku innemu życiu, chociaż posiada ciało. Ciało pozostaje takie samo, ręce są takie same, ale przemieniona dusza — jakby w innym świecie — niebiańskim — teraz mieszkała! Ona żyje — miłością

wypełniona, radząc się o wszystko Boga! Wszystko dookoła niby jest takie same — a życie ludzkie staje się inne!

Oto teraz wszystkie swoje gorące myśli, ciężkie wątpliwości w mowach niepowściągliwych, w sporach — mnie na spowiedzi chciałeś z siebie wyrzucić? Myślałeś, że przez to ci ulży?

Tymczasem nie ma pokoju w twojej duszy dlatego, że nie poznałeś serdecznej ciszy!

Powiem też: wszystko, co chciałeś mi wyznać, przecież już wiedział i wie o tobie Bóg!

On wie — zarówno twoją przeszłość, jak i myśli każdą!

Każdy człowiek jest zawsze — jak na dłoni u Boga! Jednak dopiero wówczas, gdy człowiek się o tym dowie — może to przynieść mu wielki pożytek! Jeśli bowiem ktoś wie, że wszystkie jego myśli, nawet te najbardziej tajne, są widzialne dla Boga i że wszystkie jego czyny są znane Bogu, a nawet to, co pobudziło człowieka do tych czynów, wtedy człowiek będzie bardziej uważnie budować swoje życie!...

Twierdzą, że człowiek musi mieć bojaźń Bożą, aby nie grzeszył. Ale ja tak nie sądzę. Gdy przez strach — człowiek wybiera dobro, a nie zło — to widzi Bóg, że to nie miłość w tej duszy, ale strach... I duszy nie zostaje to zaliczone...

Czystość duszy przed Bogiem powinna być przestrzegana nie z powodu tego, że kara może podążać za grzeszne czyny i myśli! Przecież pomysły nasze nie stanowią dla Boga tajemnicy! I nie da się ukryć nam naszych czynów przed Jego wszechwiedzącym spojrzeniem!

Ale jeśli Bóg widzi moje niedoskonałości, to powinienem tego się wstydzić. A żyć w hańbie i wstydzie — duszy nie przystoi...

Natomiast jeżeli człowiek rozumiał, że pomyślał źle, że postąpił niewłaściwie i wstydzi się tego przed Bogiem, to za innym razem postara się on nie grzeszyć!

Ważne jest również — aby nie pozwolić na powstanie w sobie — tego wewnętrznego kłamstwa, które samemu człowiekowi zamyka oczy na jego wady... To jest to kłamstwo, gdy człowiek, aby nie był słyszalny cichy głos sumienia, zaczyna sam sobie wymyślać usprawiedliwienia, na przykład — nie siebie, ale innych obwiniać za wszystko!

Natomiast jeśli ktoś szczerze chce siebie — jako duszę — poprawić, to jest to świętem u Boga! Bóg zaczyna pomagać tej osobie w naprawie duszy, prowadzą wtedy wspólną pracę.

Dopóki człowiek nie wie, że Bóg widzi go stale, — dla niego wydaje się być równe zło i dobro, co jest mu zaproponowane do wyboru... Tak i żyje powoli taka dusza, jakby w ogóle spała lub była ślepą i głuchą... I niewiele korzyści z takiego życia...

— Powiedz mi, starcze, a ty sam — po co żyjesz? Przecież żyjesz — jakbyś nie widział zła, kłamstw, przestępstw? Jak możesz wybaczać te obrzydliwości, co wydarzają się wokół?

„Nie będę w stanie udzielić odpowiedzi na wszystkie twoje pytania... Oto w myślach stawiasz zarzuty ludziom, którzy nazywają siebie sługami Boga”. O tym, co dzieje się w różnych religiach, co miażdży wszystkie ich podstawy, chcesz mi powiedzieć słowa — i nazywasz to swoją niewiarą. Ale przecież tak samo Jezus o wierze uczonych w Piśmie

i faryzeuszy mówił. Nie jest nowe to, co myślisz! Nie zniknęły do dnia dzisiejszego uczeni w Piśmie i faryzeusze!...

Spójrz: krzywo ściana w tej celi jest złożona, nawet pęknięcie wzdłuż ściany wystąpiło. Może — murarz był nieudolny. Może — czas nieubłagane niszczy konstrukcje materialne wznoszone przez ludzi... Ile kościołów dla różnych wierzeń wzniesli ludzie — nie sposób ich zliczyć! Wiele z nich zostało zniszczonych dawno, na inne kolej w przyszłości...

Jednakże tylko ta świątynia jest nienaruszalna, którą w swoim sercu duchowym człowiek wybudował! Oto tron Pana, przed którym człowiek składa swoje prawdziwe ofiary: wady, których się wyrzekł — aby już więcej nie grzeszyć! A tymi wadami są duma, zazdrość, gniew, potępienie, lenistwo, złość, drażliwość, przygnębienie, strach, miłość do samego siebie i nieuwaga dla innych... I wiele innych złych rzeczy...

Serce duchowe to ten ołtarz, na którym rozpala się lampa miłości niegasnącej!

A przecież tylko oczyszczona od skalania dusza — dla Boga może się trudzić! To jest właśnie pierwszy wspaniały dar dla Boga od człowieka!

A wtedy — reguły życia, ustanowione przez ludzkie prawa, — zostaną zastąpione prawami Boga, które właśnie miłością serdeczną powinien odczuć i zrozumieć człowiek.

A Miłość Boga nie zna granic! I nie ma tej mocy, która mogłaby powstrzymać dokonanie woli Bożej!

Możliwe jest takie trwanie przed Bogiem, gdy człowiek otwiera całą swoją duszę — i serce jego jest otwarte na Miłość Boga! Jedynie tylko poznając to, człowiek widzi na własne oczy i upewnia się, że zawsze był i jest przed Oczyma Boga Kochającymi!

Dopiero wówczas — ludzka duma się uśmierza ostatecznie!

Na razie — w twoim umyśle szaleją myśli o tym, co sprawiedliwością i niesprawiedliwością... Jednak dopiero wtedy w twoim sercu może nastąpić duchowy pokój i miłość, kiedy je otworzysz, oczyszczone, dla Chrystusa — a wstąpi Chrystus do twojego serca!

... Otóż może człowiek zastąpić w sobie potępiający umysł — wszech przebaczącą Miłością Boską!

Ze mną też działo się kiedyś coś podobnego do tego, co się teraz z tobą dzieje.

Szukałem sprawiedliwości pomiędzy ludźmi. Oczekiwałem, że ludzie rozumieją słowo Boże, gdy tylko go usłyszą! I że przez czyny ujawnią wszystko, co zrozumieli... A jeśli nie w ten sposób, o jakim marzyłem, ludzie to robili, to niekiedy ogarniała mnie rozpacz. Nie rozumiałem, jak powinienem postępować, gdy nawet wśród pasterzy widziałem faryzeuszy, gdy nic nie mogłem zmienić w ludzkich duszach... Modliłem się zatem namiętnie i żarliwie, i prosiłem Boga o pomoc i uświadomienie — jak żyć.

I oto wtedy ujrzałem Jezusa po raz pierwszy. I usłyszałem od Niego tylko dwa słowa: POKORA I WDZIĘCZNOŚĆ!

Wtedy zrozumiałem Pana Jezusa — i ukorzyłem moją dumę... I nauczyłem się przyjmować wszystko, co przychodzi do mojego życia — z pokorą i wdzięcznością. I wiele wtedy się zmieniło. Bowiem wielka miłość wzrasta w duszy, gdy człowiek rozumie, co znaczy prawdziwa pokora i wypełnia to. Wtedy wdzięczność wypełnia serce duchowe: wdzięczność za wszystko, co posyła Ojciec Niebieski! A także wdzięcznością do wszystkich istot, przez których to przychodzi od Boga — dusza się wypełnia! Oto

wtedy mój buntowniczy umysł został na zawsze zastąpiony przez wielką ciszę duchowego serca!

Tak właśnie i żyję od tego czasu: to, co jest na miarę mojego zrozumienia i umiejętności — to czynię na chwałę Pana!

A gdy dusza będzie gotowa, Bóg objawi to, czego teraz nie wiem, nauczy tego, czego nie jestem w stanie na razie dokonać...

Żyję teraz wśród zasad zniewalających — wolny. Staram się, w miarę sił i pojmowania, zawsze w zgodzie z Wolą Boga — okazywać Jego Miłość Wszechmogącą...

Jest to tym, czego mogę cię nauczyć, jeśli zostaniesz ze mną.

Nie w ciągu jednej rozmowy to następuje, ale przez życie mnicha przyswaja się! Poprzez życie — w stałym trwaniu przed Bogiem. A czego nie potrafię nauczyć, tego Pan nauczy...

Co nie jest w mojej mocy, by zmienić, co rozumieniem jeszcze nie ogarnąłem — o tym będę milczał... A kiedy będę miał zrozumienie i wiedzę od Boga: co powiedzieć, jak postąpić, wtedy i moc zostanie ofiarowana dla przemieniających działań...

Wielkie szczęście przynosi duszy — zgoda z Wolą Bożą!

Pokorą oczyszcza się dusza z egoizmu i dumi. I przychodzą zrozumienie i przebaczenie.

Otwiera się wtedy Źródło Miłości Nieskończonej w sercu obszernym duchowym!

Ten, kto znalazł to Źródło w głębi siebie-duszy: w głębi serca duchowego, połączonego z Bogiem — nie będzie już zasmucony przez to, co zewnętrzne! Wielkie jest jego szczęście — bowiem na ziemi rozwarły się dla niego Niebiosy! A Bóg jest z nim i w nim!

Taka jest droga monastyczna.

Oto tak właśnie żyję, tak właśnie służę Panu. Tak też staram się pomagać ludziom. Jeśli zapala się w kimś dusza miłością, to jakby świeca zaświeciła się dla chwały Bożej! I potem świecę te dusze, oświetlając wszystko wokół! A inne dusze mogą od nich przyjąć iskrę miłości!

*** * ***

Mikołaj ze zdziwieniem uświadomił sobie, że podczas gdy starzec mówił, on nie tylko słowa słyszał. Swoiste zrozumienie przenikało do niego. Otrzymał kluczowe odpowiedzi na te swoje pytania, które chciał zadać!

Całkiem nowe, niezwykle ciepło ogarnęło klatkę piersiową wewnątrz... On pojął, że teraz jego życie może zacząć się jakby od nowa. Jak gdyby wszystko co było poprzednio — to był po prostu... szkic... A teraz — oto stoi przed Bogiem jako naga dusza! Już nie przed mądrym starcem, ale przed Wielką i Potężną Boską Mocą, Która rządzi wszystkim i, jak się okazuje, zawsze... była blisko...

Otóż teraz wiedział na pewno, że miłość serdeczna, którą czuje, jest właśnie tym prawdziwym świecznikiem, który oświecla całą drogę do pełnego poznania Prawdy!

To było tak, jakby syn marnotrawny powrócił do swego kochającego ojca.

Teraz został on w pełni przygotowany do rozpoczęcia nowego życia — życia na Dłoni u Boga, życia dla Boga!

Przypowieść o tajemnicy modlitwy Jezusowej i osiągnięciu wewnętrznej ciszy

*„Istnieje najwyższa modlitwa doskonałych —
... gdy przez niewysłowione westchnienia ducha
zbliżają się oni do Boga, Który widzi układ serca
otwarty ”.*

Z „nauk ascetycznych”

Nilą z Synaju

*„Istnieje stan polegający na postrzeganiu jedyne-
go Boga i żarliwej miłości do Niego,
w którym umysł, ogarnięty i przeniknięty tą miłością,
rozmawia z Bogiem w najbardziej bezpośredni
sposób”.*

Z „Przeglądu duchowej bitwy”

Jana Kasjana

Było to w niewielkim klasztorze, w którym mieszkał starzec o imieniu Zosima. Zdumiewające cuda towarzyszyły jego służeniu Bogu! Wiele ludzi szukało u niego porad, pomocy, uzdrowienia z chorób duszy i ciała.

Ale niewielu z nich szukało u niego wiedzy z zakresu poznania Miłości Chrystusowej... I nie dążyło do nauczenia się tego, co starzec mógł czynić dla ludzi i dla Boga. Dlatego tak było, gdyż wyczyn jego życia zakonnego uznawali za niemożliwy dla siebie.

Jednak pewien człowiek o imieniu Mikołaj pozostał u starca, aby uczyć się od niego obcowania z Bogiem i poznania Go.

* * *

Pewnego razu Mikołaj szedł do starca Zosimy i spotkał sługę klasztornego, który nieustannie powtarzał modlitwę: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem!”

Mijając Mikołaja, ten mężczyzna spojrzał na nowicjusza z dezaprobatą i potępieniem:

— Znów do starca idziesz, na litość boską!? Czy usiłujesz z bezbożnika od razu zostać świętym?

— Tak, idę, Zosima wołał do siebie, — spokojnie odpowiedział Mikołaj.

Przyzwyczał się już do tego, że niektórzy mieszkańcy klasztoru niezbyt lubili go z powodu uwagi, którą poświęcał mu starzec. I chociaż od przeora klasztoru uzyskano zgodę, że to właśnie starzec Zosima przygotowuje Mikołaja na mnicha, jednak nowicjusz u wielu wywoływał dezaprobatę, która była spowodowaną zazdrością.

* * *

Mikołaj wszedł do celi starca. Zosima, jak zwykle, z góry wiedział o jego przybyciu. Mikołaj zawsze był zdumiony tym, jak starzec w jakiś niewytłumaczalny sposób wie: kto do niego idzie, o czym człowiek myśli, jakimi problemami jest zatroskany.

Starzec siedział w głębokim spokoju i łagodnie spoglądał na przybysza. W celi panowała szczególna atmosfera, którą dla siebie Mikołaj określał jako Bożą Obecność. Jak gdyby nawet powietrze było wypełnione przejrzystą i subtelną ciszą!

Przez jakiś czas obaj milczeli, siedząc blisko siebie.

Następnie Mikołaj zapytał:

— Dlaczego mnisi wkładają tyle wysiłku, w odmawianie modlitwy Jezusowej? Słyszałem i czytałem kiedyś o tej modlitwie. Opowiedz mi o tym. Dlaczego ona teraz nie pomaga? A może jej sekret naprawdę zaginął na wieki?

Dlaczego nie pomaga? — Pomaga!

— Oto teraz spotkałem człowieka, który wciąż powtarza tę modlitwę...

— Ale miłość Chrystusowa z niego nie emanuje, tak?”

— Tak...

A więc nie pomaga modlitwa temu, kto nie zna jej tajemnicy?

— Właśnie...

Otóż, nie ma żadnej tajemnicy!

Nigdy nie było ukryte przed ludźmi to, że najważniejszą rzeczą do rozpoczęcia duchowej przemiany jest poznanie serdecznej miłości! Jezus o tym wyraźnie nauczał — że Bóg jest MIŁOŚCIĄ!

Na tej drodze było wielu niestrudzonych pracowników, którzy próbowali zrealizować praktycznie pouczenia Jezusa.

Szukali sposobu na zanurzenie się w ciszy duchowego serca, która po grecku nazywa się hesychia. * Jest to cisza, w której Głos Boga staje się wyraźnie rozpoznawalny.

Poza tym starali się osiągnąć taką czystość duszy, kiedy światło Ducha Świętego jest widzialne dla spojrzenia serdecznego!

I wybierali oni zakonny styl życia, w którym wszystko jest dla Boga i nic — dla siebie!

Poszukiwali sposobów, jak nie dopuszczać do siebie grzesznych myśli, jak utrzymywać duszę w

krystalicznej czystości, jak żyć w ciągłym odczuwaniu Pana Boga.

I wielu z nich odmawiało wezwanie modlitewne: „Panie Jezu Chryste, Synu Boży, zmiłuj się nade mną grzesznikiem!” I powtarzało te słowa nieustannie, w każdej chwili swojego życia — aby umysł nie odstępował od Pana, aby dusza w pokorze chyliła czoło przed Majestatem i Mądrością Boga. I zdarzało się, że dzięki takiej pracy duszy następowało zanurzenie się umysłu do serca — serca duchowego.

Poza tym wzywali Jezusa, aby wstąpił do ich serc. Gdyż nie tylko wierzyli w Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, ale Jego Samego — Żywego i obecnie — zawsze starali się odczuwać! Próbowali nauczyć się rozmawiać z Jezusem — podobnie jak Apostoł Paweł. Żeby prosić o rady Samego Jezusa!

Aby to mogło się zrealizować, trzeba posiadać miłość serdeczną i skierować ją do Pana Boga.

Wielu chciało to osiągnąć, ale nie wszystkim się udało...

Nie wystarczy mieć tylko zrozumienie i pragnienie...

„Stwórz, Boże, we mnie serce czyste...” — tak wielu się modli. Jednak któż to uczyni za człowieka — oczyści jego serce? Kto zmusi go, by postępował zgodnie z pouczeniami Bożymi? Kiedy to on sam właśnie musi pracować nad oczyszczeniem i przemianą duszy!

Co więcej może to być najważniejszym zadaniem w jego życiu!

O tym, że Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo Boże,* — słyszałeś takie słowa? Więc Bóg stworzył pięknego człowieka. Ale dlaczego tak

nie jest w życiu? Być może sami ludzie są winni tego, że dusze są zabrudzone?

Gdzie zatem pod mnóstwem szat-powłok zamieszkuje w człowieku najgłębszy Boski Początek?

Jak obraz Boży może objawiać się w ludzkim ciele?

Lub — gdzie Obraz ten jest ukryty?

W czym jesteśmy podobni do Boga?

Co poznali asceci-hesychaści, którzy zgłębili Chrystusową Chwałę, Moc i Miłość, gdy mówili o przebóstwieniu nawet ciała materialnego.

Taka możliwość występuje, gdy duch ludzki łączy się z Duchem Bożym i przejmuje władzę nad ciałem. A wówczas niemoce cielesne i niemoce duchowe podlegają takiej woli człowieka, która zawsze pozostaje w zgodzie z Wolą Bożą!

Jak się tego wszystkiego nauczyć?

Wpierw trzeba uwolnić dusze od nieczystości.

Poprzez skrucę, pokorę i przebaczenie oczyszcza się dusza.

Nie za jednym razem wady duszy odstępują. Skrucha jest wielką pracą nad uświadomieniem sobie własnej niedoskonałości i naprawieniem: i niewłaściwych myśli, i grzesznych uczynków i niedoskonałych emocji.

Stopniowo mnich przyzwyczaja się do życia w nieustającym trwaniu przed obliczem Boga. Nie teoretycznie, lecz realnie stara się nie grzeszyć każdego dnia swojego życia!

A wtedy — jak gdyby między przeszłością a przyszłością, zamiera oczyszczona dusza przed Bogiem i jakby mówi: „Wszystko, co jest we mnie dobrego, jest dla ciebie, Boże! A wszystko co było złego

poprzednio — niech zostanie zniszczone! Nie dopuszczę się więcej grzechu — dla Ciebie, Boże!”

Właśnie taka praca — jest Bogu potrzebna! A wtedy — przeszłość zostaje jakby oplukana!

A jeśli za nami jest czystość, to też przed nami jest czystość!

Otóż w tej niesamowitej chwili trwania przed Bogiem — i objawia się wielka cisza: czuła, przejrzysta, nieskończona!

Ale można ją odczuć — tylko wewnątrz otwartego na oścież serca duchowego!

Ty też teraz możesz zacząć uczyć się poznawać ją. Oto proste zadanie dla ciebie na początek:

Czy słyszysz jak bije dzwon? To tak, jakby wzywał ludzi, aby przypomnieli o Bogu...

Dźwięki te wypełniają przestworze — na wiele kilometrów! Rozrastają się i rozszerzają... I w oddali — kiedy dźwięk nie jest już słyszalny — jakby dalej szerzy się cisza, która po nim powstała.

Teraz wyobraź sobie, że jesteś jak dzwon: też pusty w środku i ogromny. I — dzwon zaczyna się kołysać... Nie ma dźwięku, jest tylko ciche wołanie, zwrócone do Wszechobecnego Boga! I cisza wówczas — jak gdyby dzwoni!...

Wsluchuj się w tę ciszę! W niej — można odczuć Boga!

... Namacalna cisza wypełniała nie tylko przestrzeń wokół ich ciał. Ale ta cisza zdawała się zalewać całą celę... Rozszerzała się również w przestworzu nad małym miasteczkiem położonym nad brzegiem szerokiej rzeki... Szerzyła się i obejmowała wszystkich, którzy zwracali swoją miłość do Chrystusa! Ale obejmowała także tych wszystkich, którzy jeszcze nie poznali tej miłości...

Łagodnie, niczym powietrze, którym oddychają wszelkie istoty, ta cisza wypełniała wszystko dookoła. I wszystko, co istniało, było w niej zawarte...

— To przedziwny cud!... Jakby wszystkie myśli się zatrzymały!... I istnieje tylko ta cisza! — powiedział wielce poruszony Mikołaj.

Tak, teraz poczułeś serdeczną ciszę. To jest jak pierwszy krok. Następnie tę ciszę można wypełnić miłością do Boga.

Czy widzisz świeczkę? Płomień jest ciepły, delikatny, jasny. Języček ognia unosi się w górę. I jeśli wokół nie ma ruchu powietrza — to jakby nieruchomy jest w swoim płonięciu ów płomień.

Niech podobny płomień miłości do Boga zacznie się jarzyć w twojej piersi — i niech jego światło się szerzy!

A potem — oświeć nim wszystkie zakamarki wewnątrz ciała, aby wypędzić z niego wszystko, co ciemne, ciężkie, mroczne. Cała ciemność — jakby się wypali!

Zanurz też swój umysł w tym świetle.

Niech ręce również wypełnią się światłem! Niech światło płynie przez dłonie — tak jak u Apostołów, gdy nałożeniem rąk uzdrawiali ludzi ze schorzeń!

Cały tułów i nawet nogi — niech owe światło wypełni. Podobnie jak naczynie przezroczyste wypełnia się wodą — tak ciało niech zostanie zalane światłem!

Wiele razy trzeba to powtarzać! Należy pracować nad przemianą i duszy, i ciała! A wtedy — z czasem — ciało może stać się naczyniem dla Ducha Świętego, źródłem Światła Bożego! Podobnie jak płomień świecy emanuje światłem — tak też człowiek

może nosić wokół swojego ciała taki równy i miękki ogień miłości!

A potem... Tak, ludzkie ciało może naprawdę stać się nosicielem Obrazu Boga — wewnętrznego Chrystusa!

W ten właśnie sposób ucz się zdobywać ciszę duszy, rozpalać w sobie miłość do Boga!

Gdy poczujesz ciepło i światło w duchowym sercu rozszerzonym i oczyszczonym — wzywaj Pana Jezusa do swojego serca! I wtedy poznasz, że Bóg jest Bogiem Żywym!

* * *

W tym tym momencie do celi starca Zosimy wszedł ten sługa, którego spotkał po drodze Mikołaj.

On pokłonił się starcowi.

— Witaj Rodionie! — powitał go Zosima.

Zgrzeszyłem, potępiając bliźniego. Pomóż! Powiedz mi: jak wymazać modlitwami ten grzech? — nie patrząc w stronę Mikołaja, rzekł Rodion.

Ależ proszę bardzo — ten bliźni jest przed tobą! Proś o przebaczenie i za innym razem nie miej złych myśli. To wystarczy!

Okazało się jednak, że nie jest to takie proste. Minęło kilka minut w głębokiej ciszy, zanim Rodion, zwracając się do Mikołaja, wyrzekł:

— Wybacz mi!...

I tak lekko zrobiło się na sercu i u Mikołaja, który nie chował urazy, i u tego człowieka...

— Czy odczuwacie teraz Radość Bożą? — zapytał starzec z uśmiechem.

Mikołaj skinął głową w milczeniu.

A z oczu sługi Rodiona trysnęły łzy...

**Jak mam się teraz modlić? Jak żyć? Co robić?
— wyszeptał.**

Starzec Zosima milczał przez chwilę, a potem zaczął opowieść:

Pewnego razu podczas adwentu przyszła do mnie kobieta z dzieckiem. O co prosiła — już nie pamiętam. Ale to, o co zapytał jej syn, zapamiętałem na całe życie. On mówi:

Oto Boże Narodzenie: nadchodzą urodziny Jezusa! Chcę Mu podarować prezent. Przecież ludzie dają sobie nawzajem prezenty świąteczne, a Jezusowi nie dają... Powiedz: co Mu najlepiej sprezentować? Zapytaj Go o to... Co jeśli ma jakieś marzenie, a ja o nim nie będę wiedział?

A czy ty sam zastanawiałeś się, jaki prezent od ciebie chciałby Jezus dostać?

Myślałem... długo myślałem, co by Go ucieszyło, ale z pewnością ma w Niebie wszystko. To, czego On sam zapragnie, natychmiast mu się ukaże! Dlatego właśnie mam problem i stąd moje pytanie...

Wtedy powiedziałem mu tak:

Jezus uczy ludzi kochać Boga: Ojca i Stwórcę wszystkiego, co istnieje! Jezus także uczy nas kochać naszych bliźnich. Mówił On, gdy głosił, że to dobro, które człowiek uczyni innemu człowiekowi, — wyświadczy to samemu Jezusowi. To jest właśnie tym podarkiem, który Pan Bóg Sam Sobie nie może zrobić w żaden sposób! Tylko człowiek, czyniąc dobro, przynosi takie dary Bogu!

I nie tylko jeden dzień w roku ludzie mogą tak postępować. Ale jeśli żyją w ten sposób każdego dnia, — to jest to wielka radość dla Boga!

Ty też, Rodionie, możesz próbować żyć w ten sposób!

A gdy kochasz swego bliźniego, to każde twoje dobre słowo może mieć cudowne działanie!

Rodion wtedy opuścił celę szczęśliwy: możliwe, że po raz pierwszy w życiu przez kilka chwil poczuł to, co określają słowem miłość...

... Mikołaj zapytał:

Dlaczego nie nauczyłeś go tego, czego mnie teraz uczysz?

Wiele razy próbowałem nauczyć tego wszystkich... powiedział starzec Zosima.

Ale dopóki dusza człowieka — jak nieposprzątana chata, pełna niepotrzebnych gratów, brudem myśli i uczynków niesprawiedliwych jest zapchana, dopóki człowiek tego nie widzi, nie rozumie i nie chce się przemieniać dla Boga, dopóty nie można mu pomóc! Bardzo powoli, zrozumienie przychodzi do takich ludzi...

Trzeba wiele cierpliwości, aby nawet w małym stopniu wyprostować ich życie, aby choć trochę im pomóc...

Oto Rodion zrobił mały krok w stronę światła i miłości... A może jutro o tym zapomni...

I okazuje się, że nie jest to takie proste — nauczyć się kochać Boga!

A tobie powinno się to udać...

* * *

Mikołaj znów przypomniał sobie wewnętrzną ciszę i ciepło w sercu — przedziwny cud, którego doświadczył.

Spróbował przywołać Jezusa.

I — wydawało mu się, że narastający stan miłości — już więcej nie mieści się w jego piersi!...

Mikołaj ze wszystkich sił starał się nie utracić tego cudownego stanu Obecności Boga, który odczuł...

A wtedy — zobaczył Jezusa!

Wszystko inne w tym momencie jakby przestało istnieć...

Cela była wypełniona miękkim, przezroczystym, lekko złocistym światłem. I w tym blasku — stał Jezus. Żywy Jezus! A nie wizerunek z jakiegokolwiek ikony!

Spojrzenie czułych oczu Jezusa przenikało w największe głębiny duszy! Jego lekko kręcone włosy spływające na ramiona nieco falowały w ledwie uchwytnych poruszeniach Światła, jakby muskane delikatnym wiatrem.

Jezus podszedł do Mikołaja i dotknął go Swoją Ręką. Ciało Jezusa nie było materialne, ono składało się ze Światła i przenikało wszystko, co materialne. Ale Jego dotyk był całkiem odczuwalny!

Jezus powiedział:

Chciałeś Mnie zobaczyć! Chciałeś wiedzieć, że jestem realną osobą! Oto jestem przed tobą: Ja, który poznał Boga Ojca, Ja, który zmartwychwstałem w Świetle i Prawdzie, — mogę być tutaj i rozmawiać z tobą!

Możesz się uczyć wykonywać na Ziemi Moje Dzieło! Możesz pomagać ludziom w rozumieniu Praw Boskiej Mocy, Która rządzi życiem wszystkich istot!

Możesz pomagać ludziom — realnie! — żyć zgodnie z Moimi przykazaniami miłości, a nie tylko przestrzegać pewnych przyjętych zasad i obrzędów! Aby się tego nauczyć, sporo pracy czeka na ciebie! Masz na to Moje błogosławieństwo!

... Kiedy Jezus skończył mówić, Jego oblicze zaczęło powiększać się coraz to bardziej, ogarniając przezroczystym Światłem przestrzeń... Tak jak poprzednio cisza wypełniała, zdawało się cały świat, tak teraz wszystko dookoła wypełniała — Obecność Jezusa! Jego ogromne czułe Ręce jakby utrzymywali powierzchnię Ziemi, na której żyje mnóstwo ludzi... Byli to ci ludzie, którzy kochają Boga i ci, którzy zapomnieli o Jego istnieniu... A potem Jezus stał się jeszcze większy, coraz to większy... Przestrzeń wypełniła się Jego słowami:

To są Moje dzieci! Kochaj ich tak jak Ja!

... Widziałem i słyszałem Jezusa... wyszeptał Mikołaj.

Zatem zgodnie z Jego słowami od teraz żyj! — potwierdził realność tego, co się wydarzyło, starzec Zosima.

Przypowieść o Bożej pomocy i o tym, jak pomagać ludziom

Żył kiedyś starzec o imieniu Zosima. Mieszkał on w klasztorze w małym prowincjonalnym miasteczku. Dokonywał licznych cudów uzdrawiania. Pomógł mnóstwu osób zrozumieć ich własne problemy i poprawić życie przed Obliczem Boga.

I miał on ucznia — nowicjusza imieniem Mikołaj. Adept bardzo chciał się nauczyć tego, co umiał starzec: zawsze rozumieć Wolę Boga, pomagać ludziom, uzdrawiać ich, mówić odpowiednie słowa, prowadzące do tego, że oni uświadamiali sobie tkwiące w ich duszach problemy.

Mikołaj był często obecny, gdy starzec przyjmował gości. Próbował zobaczyć i zrozumieć, jak Bóg przyzwala starcowi Zosimie w cudowny sposób poruszać takie głębiny ludzkich dusz, że jego słowa stają się uzdrawiające, a poprzez nakładanie rąk usuwa ból, przywraca wzrok, inne liczne schorzenia bez śladu odstępują z woli Boga, przejawianej poprzez starca...

Pewnego razu Mikołaj zapytał:

— Dlaczego nie mogę uzdrawiać podobnie jak ty, podobnie jak Jezus i Jego Apostołowie? Chciałbym, jak ty, pomagać ludziom, uzdrawiać. Ale mnie się to nie udaje...

Zosima milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— To pojawia się nie od razu.

Oto było ci dane ujrzeć wzrokiem duszy Jezusa. Niekiedy już możesz słyszeć głos Boga. A narzekasz...

— Nauczyć się słyszeć Boga — to przecież jest takie łatwe! Ale uzdrawiać, jak ty...

— Teraz pycha przez ciebie przemawia, że nie potrafisz dokonywać rzeczy cudownych. A ty nie połeń się uczyć rozpoznawania Bożej Opatrzności we wszystkim! Zdarza się przecież, że Dzieło Boże można wykonać tylko własnymi rękoma lub wykazać za pomocą prostych słów! Cudu dobroci można dokonać zwykłą pracą, jeśli serdeczna miłość daje temu siłę. Gdyż, póki nasze ręce pracują dla Boga, łączą się one z Boskimi Rękoma!

— Rozumiem to wszystko, uczę się tego. A jednak, ot nałożyłeś ręce — i człowiek jest zdrowy.

— A ty się nie martw! Póki co pracuj — aby w rozmowie z każdym cierpiącym znaleźć właściwe

słowa i uśmierzyć ból duchowy, dać nadzieję, wyjaśnić sens życia człowiekowi! A za pomocą słów i serdecznego ciepła — nawet bez widzialnych cudów może być dokonane wielkie uzdrowienie duszy! A z tego — być może będzie nawet więcej dobra, aniżeli z cudownych uzdrowień!

— Ale czy mimo to nauczysz mnie uzdrawiania?

— Na pewno będę uczył! Chociażby teraz zacznijmy.

Istnieje Wielka Cisza! Boską Mądrość i Moc są w niej uzyskiwane. Pozostając w miłości serdecznej — nauczyłeś się już wstępować w tę Ciszę! Tutaj jest wiadome, oczywiste dla duszy: Bóg cały czas mieszka blisko nas. Bóg obejmuje nas ze wszystkich stron! Bóg — On jest wszędzie... I w lewo, i w prawo, i do przodu, i do tyłu, i w górę, i w dół — jakkolwiek daleko się posuniemy — wszędzie jest On!

W każdym źdźbłe trawy, drzewku, we wszelkiej ptaszynie, kwiatku lub jakiegokolwiek zwierzyńie — życie jest podtrzymywane przez Moc Boga! Obok każdej duszy przebywa Miłość Boża, przejawia Siebie we wszystkim. Trzeba tylko uważnie patrzeć!

Wszystko odżywiają i obmywają Jego Błogość i Czułość!

Jego Życiodajne Światło — przenika wszystko! Tak jak powietrze, którym oddychają wszelkie żyjące stworzenia, istnieje zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz każdej istoty — tak dużej, jak i najmniejszej — i każda żyje dlatego, że oddycha — tak samo Boskie Światło, Które widzialne jest dla duchowego serca: Ono jest zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz wszystkiego! Wszystko istnieje i jest napełniane życiem, które pochodzi właśnie od Niego, z Jego Miłości i Wszechmocy!

Zatem jeśli nauczysz się kochać Boga całym swoim sercem, całą duszą — wtedy też w każdej istocie nauczysz się odczuwać oddech Światła Bożego, w każdym przejawie widzieć i rozumieć Wolę Bożą! I przez to nastanie wielki Spokój: Spokój, w którym Miłość Boża Króluje Niepodzielnie!

Oto — wewnątrz i na zewnątrz twojego duchowego serca, jak wewnątrz tej celi i poza nią — jest Bóg Wszechobecny, Wszechmocny, Kochający! Wyobraź sobie — najsilniej jak potrafisz Majestat i Bezgraniczność Boga, Który stworzył wszystko. A potem wyjdź, rozwierając od wewnątrz wewnętrzną przestrzeń duchowego serca! Wyjdź — jakby z ciasnej celi — do Światła Bożego, Które jest wszędzie!

Musisz wiedzieć, że to Światło jest właśnie Duchem Świętym, wielkim Sprawcą Woli Bożej! W tym świetle są Ręce Boga, wypełnione Miłością! Powstają w tym Świetle wtedy, gdy jest dla Nich praca. Jakby znikąd pojawiają się te Czułe Ręce, Które mogą uczynić wszystko. Zarówno uzdrawiać ciała z chorób, kierując Strumień Życiodajnej Mocy Bożej — do tych ciał.

Jeśli ty — z miłością, zapominając o sobie — czynisz dobro, to Bóg działa przez ciebie! I wkrótce to, co wydawało się niemożliwe — urzeczywistnia się! Nieograniczona Moc Boga stoi za uczynkami człowieka, który tworzy dobro w harmonii z Bogiem! A wtedy, gdy człowiek zrozumie, że nie jest jedynym, który się trudzi, ale Bóg w nim pracę dokonuje, — zaczęną się dzieć cuda!

... Mikołaj uczył się — raz za razem — wchodzić w połączenie się z Duchem Świętym, wprawiał się w odczuwaniu Boskich Rąk, ćwiczył się w widzeniu te-

go, jak Moc Boża wstępuje do ciała człowieka w celu uzdrowienia...

* * *

Raz do celi do starca Zosimy przyszedł jeden mnich z ich klasztoru...

Był blady i trzymał się za brzuch obiema rękami...

— Starcze, uzdrów mnie, pomóż, męczę się z żołądkiem, nie mogę już tego wytrzymać... — jęknął żałośnie.

— Idź do doktora Fiodora do szpitala, on ci pomoże..., — rzekł starzec Zosima, prawie nie patrząc na zakonnika.

— Dlaczego uzdrawiasz wszystkich przybysz, ale mnie, swemu, — nie chcesz pomóc? — powiedział urażony mnich.

— Ponieważ ty, mnichu, składałeś śluby Bogu, ale ich nie dotrzymujesz! Jadłeś mięso, piłeś wino — a więc teraz słusznie doświadczasz bólu! — wymówił łagodnym głosem, ale rygorystycznie Zosima.

— Ale wyznałem ten grzech, nasz przeor go odpuścił...

— Mówiłem ci: idź do szpitala! Tam cię wyleczą! Poza tym poproś Boga, aby pomógł ci dostrzec, w czym nie okazałeś skruchy, w czym nie masz racji. Niech Bóg pomoże ci zrozumieć: czym jest czystość życia zakonnego, a czym są grzechy spowodowane własnymi pragnieniami.

Mnich zajęczał jeszcze bardziej z bólu, w nadziei, że wzbudzi litość i współczucie w starcu. I jego ból jakby się nasilił.

Z trudem łapiąc oddech, opadł na ławkę.

Mikołaj, który obserwował to wszystko, co się działo, zapytał starca:

— Czy mogę spróbować mu pomóc? Przecież chcę się nauczyć uzdrawiania!

— Pomóż: towarzysz mu do szpitala!

— Nie to miałem na myśli!...

— Rób, co chcesz... — powiedział starzec i wyszedł z celi do ogrodu klasztorного, który zaczynał się tuż za drzwiami celi.

* * *

Mikołaj starał się robić wszystko, jak pouczał go starzec Zosima. Widział i Światło Ducha Świętego, i liczne Boskie Ręce, Które przebywały w tym Świetle. Jednak te Ręce, jakby nie były mu posłuszne, jakby to Światło nie chciało przynieść choremu uzdrowienie...

Mikołaj przypisał wszystkie te trudności swojej niekompetencji i tym bardziej usiłował uśmierzyć ból mnicha.

W końcu jak gdyby mu się to udało.

Zaskoczenie mnicha nie znało granic:

— O, rany! Więc ty też — teraz umiesz! Ból — jak ręka odjął! Starzec nie potrafił wyleczyć, ale tobie się udało! Widocznie Zosima się starzeje! No proszę! W końcu nauczyłeś się dokonywać cudów!

— Dziękuj Bogu... — powiedział cicho wyczerpany ze znużenia Mikołaj.

Mnich żarliwie się przeżegnał i wyszedł...

— Udało mi się! — Mikołaj powitał radośnie starca, który wszedł do celi.

— Nie jestem pewien... — rzekł cicho Zosima.

— Myślisz, że choroba wróci do niego?

— Zobaczymy... Każdy musi sam ponosić odpowiedzialność przed Bogiem za własne grzechy! Można tylko pomóc człowiekowi zrozumieć, jak się poprawić, jak oczyścić duszę. Trzeba pozwalać ludziom otrzymywać lekcje od Boga...

* * *

Następnego ranka Mikołaj obudził się z bólu. Z nim zaczęło się to wszystko, co działo się wczoraj z chorym mnichem.

Jego pierwszym impulsem było udanie się do starca po radę i pomoc.

Ale na tę myśl lub skutek próby poruszenia pełnym cierpienia ciałem — ból się nasilił.

Mikołaj zwrócił się z pytaniem do Boga. Zrodziło się zrozumienie, że wczorajsze uzdrowienie nie było dla dobra chorego, że tak łatwe wyzdrowienie ciała — zaszkodziło duszy: nie przeszła ona przez te lekcje o czystości życia zakonnego, które Bóg chciał przekazać, nie zrozumiane, nie uświadomione zostało to zło, które mogło być naprawione.

Mikołaj zaczął przeproszać za popełniony przez niego błąd. Zaczął też zastanawiać się, jak rozmówić się z tym mnichem, aby on zrozumiał.

Ból zaczął ustępować. Jak gdyby ocean Światła Ducha Świętego objął go ze wszystkich stron Czułością i Laską! Malutkim i nieznaczącym w tym oceanie było ciało, które już prawie nie odczuwało bólu! Mikołaj spróbował oczyścić i wypełnić tym Światłem swoje ciało, ale już zupełnie zabrakło mu na to siły...

W tym samym czasie wszedł do niego starzec Zosima:

— Wytrzymaj, zaraz wszystko minie!

Starzec usiadł obok niego i delikatnie pogłaskał Mikołaja po głowie, jak matka pocieszająca małego niegrzeczного chłopca, który nie posłuchał jej rady.

— Tak, już przeszło! — uśmiechnął się Mikołaj, czując, jak pozostałości bólu opuszczały ciało. On błogo się uśmiechał, zdając sobie sprawę, że rzeczywiście wygląda jak psotny chłopiec, który nabroił: przecież starzec sugerował, że nie należało tego robić, ale kiedy tak bardzo mu się chciało! Toż zechciał poczuć się uzdrowicielem!...

Jakby odpowiadając na jego myśli, starzec rzekł:

— Nie wszystko, co chciało by się uczynić, jest nam dozwolone. Niekiedy Bóg uczy ludzi przez ból: gdy inaczej nie potrafią zrozumieć. I nie wolno usuwać tego bólu zanim nie będzie na to Bożej Zgody!

— Dlaczego więc mnie teraz uzdrowiłeś?

— To — nie ja, to — Bóg! Przecież rozumiałeś wszystko — toteż Bóg pomógł!

Ja też w swoim czasie nie mało bólu zaznałem, zanim zdałem sobie sprawę, że we wszystkim należy być posłusznym Bogu. I nawet za ból — człowiek może Bogu dziękować: za zrozumienie, które zyskuje dzięki bólowi!

Przed udzieleniem pomocy człowiekowi byłoby dobrze wpierw zobaczyć i zrozumieć: co jest korzystne dla tej duszy, a co szkodliwe!

Niemniej jednak lepiej jest spróbować pomóc, niż lękać się udzielenia pomocy z obawy, że „a nuż coś się stanie”. Bez okazywania pomocy — nigdy nie nauczysz się mądrze pomagać!

Teraz powinienes uczyć się Wielkiego Bożego Spokoju! Wówczas będziesz coraz rzadziej popełniał

błądy! Ze swoją pochopną pomocą, będącą w sprzeczności z Wolą Bożą, nie będziesz się spieszył!

Tylko wtedy Bóg będzie mógł objawiać poprzez ciebie Swoją Wolę, gdy twoja wola z Wolą Bożą się łączą — i jedynie Jego Wola pozostaje!

Przypowieść o dobru: dobru uczynionym — i dobru nie uczynionym

W prowincjonalnym miasteczku, położonym nad dużą rzeką, znajdował się klasztor. I mieszkał w nim starzec, uznawany przez wiele osób za świętego. Miał na imię Zosima. Otóż ludzie powiadali, że wedle jego słów dzieją się cuda, i losy ludzkie zmieniają się na lepsze, i dusze się przeobrażają!

Toteż pewien zamożny kupiec, którego córka została cudownie uzdrowiona przez starca Zosimę, założył w tym mieście bezpłatny szpital.

I dużo ludzi przybywało z odległych miejsc, aby porozmawiać ze starcem, poprosić o radę. A zatem wiele osób otrzymywało pomoc Bożą poprzez słowa tego starca i jego działania. I liczni, po rozmowach ze starcem, zmieniali swoje życie przed Obliczem Boga, starali się czynić dobro...

Ale jednocześnie w tym samym mieście płynęło też inne życie. Były tam również karczmy z pijackimi hulankami i bójkami na noże. Były też inne rzeczy, o których lepiej nawet nie wspomnieć. Pomnażali ludzie swoje nieszczęścia, ponieważ nad przeznaczeniem życia duszy w ciele — nawet nie myśleli... Swoim nieprawym życiem ludzie — i sobie krzywdę wy-

rzędzali i innym nieśli nieszczęścia. I obok cudzych kłopotów, nie patrząc oni przechodzili... I nie zastanawiali się nad tym, co czynią...

* * *

Pewnego dnia do tego bezpłatnego szpitala przyszła młoda kobieta.

Na recepcji ona powiedziała, że musi koniecznie dostać się do doktora, który jest w szpitalu najważniejszy.

Pielęgniarka, która zapisywała pacjentów, odparła na to:

— Ależ, moja droga, to nie do niego ma pani iść! Mamy innego lekarza dla kobiet w ciąży! Jest również bardzo dobra, więc nie ma pani o co się martwić! Przyjechała tu z samej stolicy! Doktor Fiodor Pantelejmonowicz jest bardzo zajęty! Jest chirurgiem, wykonuje skomplikowane operacje. A w tej chwili właśnie przywieźli ciężko chorego pacjenta. Po co mu przeszkadzać po próżnicy?

— Ależ koniecznie muszę z nim porozmawiać — powiedziała młoda kobieta, spoglądając przed siebie na dół. Mogę poczekać...

— Cóż, zarejestruje pani na wizytę do niego. Jak pani się nazywa?

— Nadieżda Archipowna Weresowa.

W tym samym momencie w drzwiach pojawił się wysoki przystojny mężczyzna o szerokich ramionach w białym fartuchu.

— Oto, Fiodorze Pantelejmonowiczu, kobieta właśnie ubiega się dostać do pana na wizytę!

— W porządku, to proszę do gabinetu! Słucham panią, proszę usiąść! Tylko niedługo, jeżeli można: wkrótce mam zacząć operację.

Doktor Fiodor usiadł naprzeciwko i przyjrzał się jej.

Pełna zażenowana młoda kobieta gniotła w dłoniach końce szala, który zakrywał jej ramiona oraz już dosyć zauważalnie zaokrąglony brzuch.

— Muszę przejść operację, nie mogę urodzić tego dziecka... Nie będę mogła pracować... Pracuję w hotelu u Taisii Pawłowny...

Ona z trudem wydusiła z siebie te słowa, raz blednąc, raz rumieniąc się, ponieważ tak zwany „hotel” był w mieście znanym miejscem, gdzie odbywały się hulanki. I bez wątpienia lekarz nie mógł o tym nie wiedzieć.

Ona spodziewała się na swe słowa reakcji potępienia i pogardy, ale tak się nie stało. Lekarz spoglądał na nią spokojnie. Nadzieja zatem kontynuowała:

— Udałam się do Angeliny Stiepanowny, bo ona zawsze ordynowała nas wszystkich, jeśli taka sytuacja się zdarzała. A tu ona mnie odesłała: mówi, że jest już za późno, że nie jest mordercą...

— A więc pani — przyszła do mnie, jak do „mordercy”?

— Ależ nie... Nie to chciałam powiedzieć... Niech pan mi wybaczyć, proszę... Ale nie mam innego wyjścia! Zupełnie! Proszę o pomoc!... Przecież myślałam, że on rzeczywiście się ze mną ożeni, że zacznie się dla mnie nowe życie — całkiem inne i czyste... Właśnie dlatego tak długo czekałam!... Przecież domyślałam się, że mnie oszukuje: po prostu zażartował dla zakładu z kolegami... Tylko wciąż nie chciałam tej prawdy uznać... A teraz... Nawet zaoszczędziłam pieniądze, zapłacę panu, może mało, ale potem jeszcze dodam, ile pan powie...

— Moja droga, czy pani sama rozumie, co mówi, co mi proponuje? Proponuje mi pani taką rzecz, która jest sprzeczna z moim sumieniem i za co powinni mnie wsadzić do więzienia! Czy chce pani, aby ten szpital został zamknięty z powodu popełnienia przeze mnie przestępstwa? Czy chce pani, żebym odebrał życie dziecku, które może już niedługo się narodzi?

Poza tym chciała pani tego dziecka!...

Istnieją w końcu inne drogi wyjścia! Sama pani twierdzi, że zaoszczędziła pieniądze, a znaczy na początek by wystarczyło...

Nie jestem biegły w prowadzeniu zbawiennych rozmów. W każdym bądź razie nie mam prawa, nie mogę i nie chcę robić tego, o co pani mnie prosi...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi:

— Doktorze, wszystko już jest gotowe do operacji, tylko na pana czekamy!

— Tak, idę zaraz!

— Przepraszam, wszystko zrozumiałam... Przepraszam... — młoda kobieta wyszeptała to ze zbiegającymi ustami i ruszyła do drzwi...

Doktor Fiodor szybkim krokiem poszedł w kierunku sali operacyjnej. Ale w środku nagle, jak gdyby stanowczo zabrzmiały słowa starca Zosimy:

„A za dobro, którego nie uczyniłeś, kto będzie odpowiadał?”

Doktor Fiodor oglądnął się i powiódł wzrokiem za odchodzącą kobietą.

On uchwycił jej myśli. W końcu niejednokrotnie miał do czynienia z tymi, których ledwo udało się wydostać z pętli lub przywrócić do życia po zatruciu się...

Zawrócił i szybkim krokiem dogonił odchodzącą, wziął ją za ramiona i powoli odwrócił ku sobie. Ujrzał

jej bladą, bardzo piękną twarz i spojrzenie pełne beznadziei...

— Proszę zaczekać! Niech pani posłucha: nie mam teraz ani jednej chwili, ale proszę mi obiecać, że będzie pani tu na mnie czekać. Porozmawiamy po operacji. Czy może powinienem panią tu zamknąć, żeby pani nie zrobiła sobie nic złego? Znajdziemy jakieś rozwiązanie! Niewątpliwie! Jeżeli pani będzie chciała, pozwolę pani tu pracować: sprzątać, opiekować się chorymi... Nie ma sytuacji bez wyjścia, bywa tylko duchowa ślepota! Przecież życie jest dane człowiekowi — przez Boga dla czegoś bardzo ważnego! I trzeba koniecznie odnaleźć, dostrzec to coś, co jest ważne — i urzeczywistniać to! Jest pani taka młoda i piękna! Pani będzie mogła właśnie teraz to zrozumieć! Niech pani tu usiądzie — i czeka na mnie! I niech pani nie wazy się odejść, zanim wrócę!

— Dobrze, poczekam, doczekam się... — wyszeptała Nadieżda załamującym głosem przez wezbrane łyzy.

* * *

Operacja przebiegła pomyślnie. Doktor Fiodor wrócił myślami do tego problemu, który postawił przed nim poranny gość:

„Cóż, pozwolę jej tu pracować. Ona urodzi. Potem zacznie romansować z lekarzami, z pacjentami... Potem porzuci dziecko i będzie chciała wrócić do dawnego życia...

Czy dałbym radę wychować to dziecko jako swoje własne? Czy wystarczy mi na to siły? W końcu sam nie zdołałem stworzyć rodziny — ponieważ żadna kobieta nie potrafiła zaakceptować mojego stylu

życia. Czyli tego, że szpital — stał się 'moją najważniejszą ukochaną'...

Tymczasem małe dziecko wymaga opieki i miłości!

Może oczywiście ta kobieta byłaby w stanie się zmienić, ale czy zechce?

Nie umiem tłumaczyć ludziom takie rzeczy, ale muszę. Już teraz powinienem znaleźć odpowiednie słowa... To starzec Zosima potrafi wyjaśniać ludziom to, jak znaleźć wyjście z impasu duszy. Tak oto — kiedyś ocalił też mnie..."

* * *

Wspomnienia napłynęły do doktora Fiodora:

To było ponad dziesięć lat temu. Był wtedy młodym i odnoszącym sukcesy chirurgiem w słynnej stołecznej klinice. I tak się zdarzyło, że pacjent niespodziewanie zmarł tuż na stole operacyjnym.

Wtedy nikt oficjalnie nie oskarżył go. Jego koledzy próbowali go uspokoić, tłumacząc, że zdarza się to każdemu lekarzowi, że jest to nieuniknione doświadczenie życiowe wszystkich lekarzy...

Jednak Fiodor nie mógł tego znieść. Porzucił pracę, wyjechał ze stolicy do innego miasta, w którym nikt go nie znał... I zaczął bez przerwy pić... I to był koniec: ani cienia nadziei, ciemność ze wszystkich stron...

Nie pamiętał, kto opowiedział mu o starcu. Po prostu nagle stwierdził, że koniecznie musi do niego się udać.

A kiedy przybył do starca Zosimy, spodziewał się usłyszeć pocieszające słowa, otrzymać rozgrzeszenie...

Jednak usłyszał od niego co innego:

— Czy prosisz o wybaczenie grzechów? A za dobro, którego nie uczyniłeś, kto przed Bogiem będzie odpowiadał?

... Fiodor ponownie wyraźnie, w najdrobniejszych szczegółach, przypomniawszy, jak to było: jak wtedy tak oto wprost oznajmił:

— Zabiłem człowieka...

Wyrzucił z siebie tak okropną rzecz — i zamilkł... I współczuł sobie i zrobiło mu się gorzko z powodu swojego zrujnowanego życia...

— Tak... skąd mógłbyś być dobrym lekarzem: ręce trzęsą się od wódki... odpowiedział mu spokojnie starzec.

A potem spojrzał tak życzliwie w oczy — jakby zwracał się do człowieka, który wcześniej pracował jako lekarz i który widział przed sobą świetlaną przyszłość, pragnął ratować ludzi.

— Skąd pan wie, że jestem lekarzem?

— Ależ nie nie jesteś już lekarzem! Teraz jesteś tak jakby tchórzem, litujący się nad sobą i zdrajcą swojego dzieła!...

— Przyszedłem po radę, a pan...

— A co ja? Mówię ci prawdę! Czy ona cię wystraszyła? Czy pijesz wódkę — aby nie widzieć tej prawdy?

Jeśli każdy swój grzech podlewać wódką, to mnóstwo jeszcze okropniejszych grzechów wtedy wyrasta!

Czy wysłuchasz mnie? A może przyszedłeś do mnie jedynie po pocieszenie?

— Przyszedłem się wypowiadać... Nie wiem, jak żyć z takim grzechem...

Zatem wypowiadaj: w czym widzisz swój grzech?"

— To był mój błąd! Gdybym się nie pomylił, ten pacjent przeżyłby!

... Ale on właśnie od razu zmarł...

— A gdybyś nie przeprowadził tej operacji, czy przeżyłby?

— Nie, on też by umarł... Ale nie od razu...

— Długo i boleśnie umierałby...

— Być może. Ale gdybym zrobił wszystko prawidłowo, to przeżyłby i byłby zdrowy... Z tego wynika, że jestem zabójcą.

— To Bóg określa termin, w którym dusza powinna opuścić ciało! A ty, jako lekarz, miałeś wiele okazji naocznie widzieć przykłady tego, jak przeżyli i odzyskiwali zdrowie chorzy, którzy, według wszelkich zasad medycyny, nie miały szans na przeżycie! Albo przeciwnie, człowiek musiałaby powrócić do zdrowia, ale nagle — serce zatrzymało się lub coś innego się stało. Czasem — i zdrowi ludzie giną, a niekiedy bywa, i śmiertelnie chorzy zdrowie odzyskują.

Bez woli Bożej nic się nie dzieje! Aczkolwiek ta Wola — jest realizowana zarówno poprzez dobrych lub złych ludzi: poprzez ich trudy, ich wyczyny, ich przestępstwa lub błędy.

Poczucie własnej winy jest korzystne dla duszy: aby przyszła skrusza. Ale potem — człowiek powinien żyć i naprawiać to, co naprawić może!

Natomiast jeśli z racji swojej winy człowiek wykopie dla siebie grób i postawi na nim nagrobek — stanie się to wielką krzywdą zarówno dla duszy tego człowieka, jak i wszystkich wokół.

Ludzie są przyzwyczajeni do obwiniania siebie tylko za popełnienie czegoś złego. Tymczasem człowiek musi przed Bogiem odpowiadać również za to, co mógłby uczynić dobrego, a jednak nie uczynił.

A więc teraz popatrz: przecież Pan Bóg będzie mógł przyprowadzić do ciebie mnóstwo ludzi, którym właśnie zdolny jesteś pomóc — jeśli przewyciężysz swoje słabości i użalanie się nad sobą i znów zaczniesz wykonywać pracę, do której jesteś powołany!

... I ujrzał Fiodor jakby przepływające przed nim obrazy: było wielu, wielu ludzi — dzieci, młodzieży i osób w starszym wieku, którzy otrzymują uzdrowienie za jego pośrednictwem jako lekarza...

Starzec Zosima kontynuował, jakby wiedział, co Fiodor widział swoim wewnętrznym wzrokiem:

— To wszystko są ludzie, którzy umrą przedwcześnie, jeśli nie wrócisz do swojej pracy! Wielka będzie twoja wina przed Bogiem — za tych, których nie uratowałeś, ponieważ zostawiłeś swoje główne dzieło!

Teraz możesz z łatwością rozpić się, pobłażając swojej bezwartościowości! Łatwo jest zdradzić swoje powołanie! Najprościej jest nie zmieniać siebie i pozostawić wszystko takim, jakim jest! I płakać, bo „wszystko jest tak źle!” — aż do końca swych dni! Jest to jednak to samo, jakby nie leczyć choroby ciała! Tak właśnie, nieuchronnie, będzie wtedy coraz to gorzej! Toteż ciało wkrótce umrze!

Podobnie dzieje się, gdy ktoś nie leczy choroby duszy, — problem ten nie zostaje rozwiązany ze śmiercią ciała! Ponieważ dusza jest nieśmiertelna! I będzie ona odpowiadać przed Bogiem za życie swoje!

Jeśli nie przeobrażać siebie, nie ratować siebie od zgubnych wad: strachu, przygnębienia, braku siły woli lub innych — wtedy będzie coraz to gorzej!

I jakkolwiek byś nie uciekał od tego problemu, co Bóg postawił przed tobą, nieuniknienie będziesz musiał go zrozumieć i rozwiązać w przyszłości!

Pośpiesz się, aby pomóc sobie i innym! Nie rozchlapuj na próżno ze swojego naczynia „wody życia”, którą Bóg odmierzył dla twojej ważnej służby!

Ludzie myślą, że tylko wyrządzone zło jest grzechem przed ludźmi i przed Bogiem. Ale niedokonane dobro jest również grzechem!

Na przykład, jeśli człowiek tonie w rzece, a inna osoba, która może mu pomóc, przechodzi obok. Jeśli nie uratuje tonącego, to raczej dla wszystkich jest jasne, iż niestworzone dobro — przyniosło tonącemu śmierć.

A — jeśli w pobliskim domu dzieci cierpią z głodu?

Albo jeżeli okrutny człowiek popełnia niesprawiedliwość?

Jeśli rozejrzeć się wokół siebie z uwagą — wtedy staną się zauważalne liczne utrapienia! Są to boleści, które niosą ludzie w sobie, lub te, które wokół siebie tworzą, mnożą... Toną dusze w tych nieszczęściach! Ktoś je widzi, ktoś nie zauważa... A kiedy człowiek żyje, skupiony na własnych smutkach, to wtedy nie zauważa, jak wiele jest cierpienia dookoła, które mógłby złagodzić!

Ale gdy człowiek stara się pomagać innym ludziom, wtedy też do niego samego przychodzi pomoc Boża!

Jednak dobra nie można czynić w głupi sposób, należy pomagać rozróżniając! Należy tego się uczyć! Być może trzeba będzie to opanowywać przez całe życie!...

Czynienie dobra nie oznacza tylko wyciągnięcia kogoś z rzeki, wyleczenia ze strasznej choroby. Przecież czasem nawet w porę powiedziane słowo może uratować człowieka przed popełnieniem zgubnego czynu! Niekiedy po prostu w milczeniu i ze zrozumieniem należy wysłuchać człowieka, aby mógł on sam zrozumieć: gdzie jest dobro, gdzie zło, gdzie jest prawda, a gdzie fałsz!

W ten sposób Jezus umiał rozmawiać z ludźmi.

Bóg może pomóc człowiekowi podnieść się nawet z głębi występku i grzechu! Przykładowo, Apostoł Paweł był mordercą i zagorzałym prześladowcą chrześcijan. Ale rozpoznał on Boga w Jezusie, Którego pewnego razu usłyszał, i zdołał się zmienić!

Istnieje bardzo wysokie przeznaczenie w ludzkim życiu: wznieść się duszą do stanu Chrystusowego!

Nie wszyscy będą w stanie od razu żyć w ten sposób, ale każdy może się postarać oczyścić się i przeobrazić.

A udzielanie pomocy swemu bliźniemu na miarę swoich sił — jest dostępne dla każdego!

Poza tym — istnieje dzieło, które jest predysponowane dla każdej duszy w jej ziemskim życiu: jeden człowiek może leczyć choroby, drugi — budować domy, niektórzy — uczyć dzieci, ktoś — malować obrazy, inny — układać piosenki lub komponować muzykę.

Gdy człowiek odkryje to swoje dzieło w życiu, poprzez które może przynieść ludziom najwięcej miłości i dobra, — to wówczas jest szczęśliwy wewnątrz dzięki swojej pracy! I wszyscy wokół czerpią wiele korzyści z jego trudów, nawet jeśli po prostu piecze chleb lub sprząta ulicę. Zarówno ten jest szczęśliwy i

prawy przed Bogiem, który uprawia ziemię lub wznosi ogrody! Albo ten też, który słyszy swoją duszą Boską muzykę i próbuje przekazać ją ludziom! Lub ten, który troszczy się o dzieci i wychowuje je.

Twoim zaś losem jest leczyć ludzi z chorób! Ale jeśli nie będziesz wypełniać swojego życiowego przeznaczenia, to twoja wina będzie wielką, bo nie uratowałeś tych, których mogłeś uratować.

Chcesz żebym ci teraz pomógł?

— Tak, chcę.

— W naszym mieście jeden bogaty kupiec zbudował szpital. Wyznaczył pensję lekarzom i pielęgniarkom, a dla chorych wszystko w nim powinno być bezpłatne. Dobrym szpital może się stać, gdy poprowadzi go dobry lekarz. Co prawda, tu nie jest stolicą, nie będzie miał wiele sławy... Czy zgadzasz się stanąć na czele tego szpitala?

— Ja... Jakże podołam?

— Sam — nie poradzisz, ale z Bożą pomocą — potrafisz, jeśli zechcesz. Nie będzie to łatwe! Jednakże — może być dobrze! Oto nałożę na ciebie pokutę za twój grzech: nigdy więcej nie bierz alkoholu do ust — aż do swojej śmierci!

Teraz sam wybieraj: albo kopiesz własny grób — albo ratujesz innych przed śmiercią!

I co, na co się decydujesz?

— Tak, spróbuję to spełnić!

— Czy rozumiesz — co jest potrzebne, aby to wszystko się urzeczywistniło? Wola Boża? Owszem. Ale nie tylko! Twoja praca, twoje codzienne wysiłki są potrzebne! Przy pomocy twoich rąk — Bóg może dokonać wielu cudownych rzeczy!

Jeśli nie rozpoczniesz tego dzieła, to któż zrobi to za Ciebie?

... Fiodor pamiętał, jak wtedy starzec rozmawiał z nim: to surowo, to łagodnie, jak z małym dzieckiem...

Udało się starcu Zosimie ukierunkować go na nowe życie! Jak gdyby został on uleczony z piekielnego koszmaru, jakby narodził się na nowo! Odtąd już nigdy nie przyjmował alkoholu do ust! I wiara w siebie i Boga powróciła! I szpital działa już dziesiąty rok! I — uratowano setki istnień ludzkich! A ilu dobrych ludzi Bóg przyprowadził i postawił obok do pracy!

* * *

„Panie Boże, pomóż mi znaleźć właściwe słowa!” — po głębszym odetchnięciu, doktor Fiodor udał się do miejsca, w którym czekał na niego jego poranny gość.

Nagle, jak gdyby ujrzał serdeczne spojrzenie starca Zosimy i całkowicie się uspokoił. Taki spokój zwykle spływał na niego przed złożonymi operacjami, kiedy nie ma kołowrotu myśli, gdy wszystko w środku jest zebrane w pewien spójny stan i każda czynność jest bezbłędnie wyznaczana, jakby przez wewnętrzne wyczucie.

On wszedł do pokoju, gdzie czekała na niego Nadieżda.

Siedziała ona przy oknie, a jej twarz jaśniała cudownym pięknem i czułością.

Fiodor zrozumiał, że już podjęła decyzję: z pewnością urodzi i wychowa dziecko, które nosi. Cokolwiek jej teraz powiedziałby — swego najważniejszego wyboru już dokonała!

Usiadł naprzeciwko niej. Zmęczenie po przeprowadzeniu operacji ustępowało. Ale wciąż jeszcze nie wiedział, co powiedzieć...

Ona podniosła pełne uroku oczy i cicho zapytała:

— Jak Panu przebiegła operacja? Czy wszystko się udało?

— Tak, mam nadzieję, że teraz wszystko będzie dobrze.

— U mnie z pewnością też teraz wszystko będzie dobrze! — łagodnie uśmiechając się do czegoś nowego, jeszcze nieznanego i pięknego, powiedział Nadieżda. — Dziękuję panu bardzo, naprawdę bardzo pan mi pomógł! A pracę dla siebie znajdę, będę szyła w domu lub coś innego wymyślę...

Ona ponownie łagodnie się uśmiechnęła:

— Pójdę już...

— Zaczekaj pani, proszę! Pani Nadio, wyjdzie pani za mnie?

Spojrzała na Fiodora prawdopodobnie tak, jak Maria Magdalena patrzyła na Jezusa, kiedy chcieli ją ukamienować, a On bronił jej...

* * *

Wkrótce po ślubie w rodzinie doktora Fiodora i Nadieżdy urodziła się córka. Nazwali ją Sofia. Ochrzcił ją starzec Zosima. I stąd widocznie, tak się przyjęło, że wszyscy zaczęli pieśczośliwie nazywać dziewczynkę Zosią...

Ale o niej — to już inna historia...

Przypowieść o Świątyni

W prowincjonalnym miasteczku znajdował się niewielki klasztor. Mieszkał w nim starzec o imieniu Zosima.

A wieści o tym starcu dotarły nawet do stolicy. Stał się on znaną postacią, ponieważ wielu jego czynom i słowom towarzyszyły Boskie cuda, a udzielone przez niego rady przynosiły ludziom wielką pomoc.

Pewnego dnia przeorowi klasztoru, archimandrycie Ignacemu dostarczono wiadomość, że do ich klasztoru do starca — jedzie minister. Przy tym, nie zwyczajny minister, ale człowiek bardzo bliski carowi!

Przeor wezwał Zosimę i oznajmia:

— Jutro przybędzie do ciebie minister, a więc... postaraj się, Zosimo! Byłoby wspaniale, gdyby ofiarował on klasztorowi pieniądze, abyśmy mogli zbudować nową świątynię, a nie jakąś drobnicą się wymanewrował!

Starzec Zosima spuścił głowę i cicho rzekł:

— Ignacy, dlaczego mówisz takie słowa, utrzymujesz takie myśli? Jeszcze nawet nie wiemy, czy będziemy w stanie pomóc temu człowiekowi — a ty już oczekujesz od niego wdzięczności...

Ignacy, nie przyzwyczajony do tego, że ktoś ośmiela się robić mu uwagi, odparł dość ostro:

— Cóż ty, Zosimo, zamierzasz mnie uczyć? To w ten sposób dbasz o dobro klasztoru? Czy chcesz zdobyć dla siebie sławę altruistycznego cudotwórcy? Czy zapomniałeś, jak przybyłeś do tego klasztoru, niczym żebrak? Czy pamiętasz, jak zostałeś tu życzliwie przyjęty i byłeś hołubiony — na pamiątkę naszej dawnej przyjaźni? A tego, że żyjesz obecnie nie we-

dług ścisłej reguły, za moim, nawiasem mówiąc, przyzwoleniem — nie rozumiesz?

— Nie zapomniałem, Ignacy! I o naszej przyjaźni nie zapomniałem! I o całej twojej dobroci pamiętam! Zawsze noszę w pamięci wszelkie dobro, a zapominać całe zło i niegodziwość — tak, jakby to się nie wydarzyło...

— A jeśli pamiętasz, to mógłbyś i wynagrodzić! I mnie, i klasztorowi, który cię przyjął!

Wiem, jak postępujesz i myślisz! Porozdawałbyś cały majątek klasztoru, gdyby dano ci władzę! Oto — jaki z datków szpital został zbudowany! Ale do dziś nie mamy nowej świątyni!

A to, Zosimo, może jest marzeniem całego mojego życia: aby po moim administrowaniu klasztorem pozostała tu nowa świątynia, wzniesiona na chwałę Bożą! Oboje nie jesteśmy już młodzi, więc powinniśmy pomyśleć: co zostawimy po sobie na Ziemi?!

— Nie mogę o to poprosić... Zatem powiesz to sam, jeśli wszystko się ułoży... Zaprosisz na obiad — i oświadczysz, co jest twoim marzeniem. Pójdę już... — wymówił Zosima jeszcze ciszej, niemal szeptem.

Skłonił głowę, jakby ze wstydu, i już miał zamiar skierować się ku wyjściu.

— Przynajmniej obiecaj, że z ministrem się postarasz! — powiedział przeor już całkiem niegroźnie.

— Wybacz mi, Ignacy! Nie mogę ci niczego obiecać! Wszystko będzie zależeć od tego człowieka i od Boga... A ty i ja — jesteśmy tylko Jego sługami, tylko narzędziami Jego Łaski...

Następnego dnia w klasztorze było gwarno, ponieważ nigdy wcześniej nie pojawiał się tu gość tej rangi.

I oto przyleciał do starca Zosimy mnich i zawiadomił, że minister przybył.

Ale Zosima mówi:

— Musi poczekać. Niech usiądzie w pokoju, w którym oczekują wszyscy. Przed nim — Bóg przyprowadził innych ludzi, a zatem najpierw ich wysłucham.

— Co ty mówisz, Zosimo? Czyż straciłeś rozum? To jest minister! Jak można dopuścić, żeby on czekał? Przecież już wczoraj cię uprzedzano, że on przybędzie!...

— A czy minister — nie jest człowiekiem? A czym jest człowiek? Duszą, która żyje przed obliczem Boga, w ciało przyodziana... A to, jakie tytuły są nadane temu ciału — Boga to nie interesuje! On ma dla ludzi inne cechy różnicujące! Zatem niech poczeka na swoją kolej.

— Ale jak mu coś takiego powiedzieć?! No to idź tam, Zosimo, i powiedz mu to sam!

— Już mu powiedziałem, — uśmiechnął się Zosima...

I rzeczywiście w tym momencie sam minister stał przed otwartymi drzwiami w towarzystwie innego mnicha. Minister słyszał słowa starca, który celowo mówił dość głośno...

I niespodziewanie dla wszystkich minister uklonił się starcowi Zosimie i spokojnie się zgodził:

— Dobrze, poczekam... Na tamtym świecie Bóg będzie oceniał ludzi według Swoich, a nie ludzkich mierników...

Starzec Zosima spokojnie przygotował się do wysłuchiwania swoich gości. A ministra eskortowano do pokoju, w którym przybywające do klasztoru ludzie czekali na przyjęcie.

* * *

Minister był wysokiego wzrostu, dobrze zbudowany, miał pięćdziesiąt lat lub nieco więcej. Jego włosy były już dotknięte siwizną. Miał na sobie czarny surdut, a nie mundur. Było oczywiste, że przygotowywał się na tę wizytę odpowiednio wcześniej, wiele spraw przemyślał...

Kiedy towarzyszący mu mnich, zaczął mówić, że przeor zaraz zostanie powiadomiony i będzie zrobione tak, że starzec natychmiast go przyjmie, minister spokojnie zaoponował:

— Nie ma potrzeby! Niechaj wykonuje swoją pracę! Nie przeszkadzajcie mu, zaczekam. Ilu ludzi każdego dnia w oczekiwaniu na wizytę u mnie męczy się w kolejce!... Więc teraz sam znalazłem się w kolejce, oczekując na łaskę Bożą!

Opuścił swoje duże ciało na ławkę obok małej, suchej mniej więcej osiemdziesięcioletniej starowinki...

Ona bardzo szybko robiła na drutach skarpetę i przy tym nawet nie patrzyła na swoją robótkę, a życzliwie wypowiadała pocieszające słowa do swojej sąsiadki, która ocierała łzy chusteczką:

— A nie mówiłam, że nas nie odeślą! Wszak Bóg istnieje! A starzec przyjmie wszystkich, którzy przyszli!

Minister nie był głupcem i domyślił się, że chciano odprawić wszystkich gości, aby starzec tylko jego wysłuchiwał.

On z ciekawością spojrział na starowinkę.

Ona, odwzajemniając mu, również zwróciła na niego uwagę:

— Nie martw się, mój drogi człowieku, to nie potrwa długo, migiem obróćę! Starzec już mi wcześniej pomógł, a teraz chcę mu tylko zanieść skarpetki i rękawiczki, niechaj obdarzy nimi dobrych ludzi!

Wskazała na płócienną torbę, w której znajdowały się jej wyroby, równiutko ułożone: małe dla dzieci i duże — dla dorosłych.

— Czy chcesz, mój drogi człowieku, tobie też podaruję skarpetki? Ciepłe! Założysz je na noc — i będziesz spał jak u Pana Boga za piecem!

Z tymi słowy staruszka wyjęła z torby parę wełnianych skarpet i wręczyła je ministrowi.

Wziął te skarpetki lekko drżącą ręką...

— Pozwól mi je od ciebie kupić, ponieważ tobie pieniądze się przydadzą — powiedział, podając staruszce dużą asygnatę.

— O czym ty mówisz? To klasztor, a nie targowisko! A więc — i przyjmij je na zdrowie!

Oni przez chwilę milczeli, a następnie minister zapytał:

— A powiedz mi, w czym ci starzec pomógł, jeśli to nie jest tajemnica? — zapytał minister starszą kobietę.

— Otóż wiele nieszczęść spadło na mnie... Pan Bóg wziął całą moją rodzinę, ale zostawił mnie, starą, samą. Siedziałam więc przy grobach moich krewnych, ale łez już zabrakło, cała poczerniałam z żalu... Nie wiedziałam, jak poprosić Pana, aby mnie zabrał również do Siebie... I życ możliwości nie ma: ani za co, ani po co! Ale śmierć nie nadchodzi!

I tu jedna kobieta pielgrzym zlitowała się — i przyprowadziła mnie do starca.

I nauczył on mnie tego, jak żyć w radości z Bogiem! I — aby moi krewni na tamtym świecie nie smucili się, patrząc na moje łzy! I poradził mi też, abym sprawiła kozę, moją Marusieńkę! Tak więc i żyjemy na razie. Jest dla mnie — i żywicielką: da jeść i pić! Chodzimy razem na grzyby i jagody, a ja zbieram zioła lecznicze. A zimą — przędę jej wełnę. I potem właśnie robię na drutach skarpetki i rękawiczki — zarówno dla dzieci, jak i dla dorosłych. Dla wszystkich — jak gdyby dla swoich krewnych!...

A ostatnim razem starzec dał mi do zrozumienia, że chyba nie będę musiała już długo czekać: odejdę wkrótce, chwała Tobie, Panie! Dlatego spieszy mi się, by przekazać to, co zrobiłam na drutach: bo zima już niedługo! A moją kózkę sąsiedzi obiecali zabrać, a zatem Marusienka nie przepadnie!...

O-jejku! To już moja kolej, zagadałam ciebie, drogi człowieku, wybac mi!...

Starsza kobieta szybko schwyciła swoją robótkę i torbę — i pospieszyła do starca.

* * *

W końcu przyszła kolej na ministra.

Starzec Zosima serdecznie go przywitał:

— No, zapraszam, Aleksy! To bardzo dobrze, że spokojnie czekałeś na swój czas! To już ci pomogło!

Teraz opowiedz mi, co wywołuje twój strach?

— Toż jakaś głupota! Wstyd powiedzieć! Ale w żaden sposób nie potrafię pozbyć się tego strachu...

Przepowiedziała mi jedna wróżka, że czeka mnie śmierć z rąk zamachowca — rewolucjonisty-terrorysty...

A więc teraz podejrzewam każdego nieznanego mi człowieka, że to właśnie on jest moim zabójcą, że — zaraz — wyciągnie pistolet i strzeli we mnie! Albo zobaczę w czyichś rękach podejrzaną paczkę — i od razu myślę: bomba! Podwoilem strażę! Zacząłem bać się wychodzić z domu! Nie mogę spać: mam koszmary!...

Spowiadałem się już, przyjmowałem komunię i poprosiłem o poświęcenie domu... I do lekarzy chodziłem, biorę pigułki nasenne... Ale nadal jest tak samo!

Rozumiem głową, że to nonsens, że nie można uciec od własnego przeznaczenia! I wiem, że śmierć może przydarzyć się każdemu w każdej chwili, że we wszystkim jest Wola Boża!

Ale jestem już tak udręczony tym strachem! Żyję jak w piekle!... Pomóż mi! Nie wiem, co robić!...

W tym momencie starzec nagle gwałtownie się podniósł — i rzucił w ministra czymś okrągłym... Trafił dokładnie w klatkę piersiową...

Minister, mdlejąc ze strachu, ciężko runął na ławkę...

... Ujrzał swoje ciało z góry... A jakiś przedmiot, rzucony w niego przez starca, powoli toczył się po podłodze...

A wokół było Żywe Światło — pieszczące, delikatne! I dozwolono Aleksiejowi wejść do tego Światła... I zrobiło się mu — tak dobrze, że nie da się nawet tego opisać! Ale potem odczuł, że jak gdyby ciągnie go z powrotem z tego Światła coś szarego, jakby duży ciężar. I zobaczył, co było tym ciężarem, który nie pozwalał mu pozostać w Świecie... I — ujrzał całe swoje życie: swoje znaczące przed Obliczem Boga

przewiny, oraz to dobro, które już udało mu się uczynić i które jeszcze uczynić zdoła...

... Kiedy minister znów poczuł siebie w ciele, starzec Zosima stał przy nim i podawał mu kubek wody:

— Napij się, Aleksy!

Minister pił wodę małymi łykami, powoli uświadamiając sobie, co się z nim działo.

Starzec usiadł w pobliżu niego.

Słowa nie były potrzebne. Zrozumienie — jakby kiełkowało w duszy.

Siedzieli tak długo, pogrążeni w ciszy, w której Boża Obecność jest dostrzegalna. W ciszy tej zrozumienie przychodzi bez pomocy słów.

Od teraz nie będziesz już miał strachu, próżnego, głupiego — ponieważ już poznałeś swoją śmierć. I tego, co ci Bóg ukazał — nie zapominaj w zgiełku doczesnego życia! Jeśli potrafisz naprawić w sobie to, co złe i uczynić to dobro, którego na razie jeszcze nie dokonałeś, to wtedy nie na próżno przeżyjesz czas, który został dla ciebie odmierzony na Ziemi! — po długim milczeniu przemówił niespiesznie Zosima.

— Powiedz mi, starcze, czym to we mnie rzuciłeś zamiast bomby?

— Toż staruszka Matriona, zapomniała tutaj swój kłębuszek wełnianych nici, ano właśnie się przydał! — uśmiechnął się łagodnie Zosima.

... Ministra eskortowano na obiad do archimandryty Ignacego. A do starca znowu zaczęli wchodzić kolejni goście.

* * *

I faktycznie minister zaczął starać się czynić wiele dobrego.

Spełnił też prośbę archimandryty Ignacego: wysłał dużo pieniędzy na budowę nowej świątyni w klasztorze.

... Pewnego dnia nowicjusz Mikołaj, uczeń starca Zosimy, obserwując proces budowy, zapytał go:

— A ty sam — na co byś wydał te pieniądze, gdybyś je dali tobie?

— To nie moja sprawa — o tym decydować! Oto dla naszego przeora ta świątynia jest wielką radością! Dla wielu mnichów — także radość! Dla parafian — jest to również ważne...

Starzec uśmiechnął się i dodał:

— Ignacy miał rację: nigdy nie byłoby ze mnie dobrego przeora klasztoru! Prawdopodobnie oddałbym te pieniądze Aksynii, która kiedyś cię przyjęła i skierowała do mnie. Otworzyłaby ona sierociniec oraz tymczasowe schronienie dla osób znajdujących się w trudnej sytuacji. Ona potrafi rozróżniać ludzi. I dzięki uważnemu odnoszeniu się do człowieka — umie udzielić mu niezbędnej pomocy.

Otóż człowiek powinien zbliżać się do Boga nie tylko poprzez ziemskie świątynie! Bożą Obecność — można odczuć gdziekolwiek! Dobrze byłoby, gdyby człowiek właśnie wszędzie wypełniał Wolę Bożą!

Zadaniem żyjącej na Ziemi duszy jest zbudowanie w sobie Świątyni! Sanktuarium — dla Boga Żywego!

Ta Świątynia tworzy się z duchowego serca wypełnionego miłością! A wtedy Bóg — może zamieszkać w tym Sanktuarium! I Bóg żyje wówczas — w duszy tego człowieka! A wtedy staje się on — nieodłączny od Boga! Taka dusza zostaje — duszą Bożą! Takie dusze są właśnie powołane do Życia Wiecznego!

Natomiast ci, którzy podczas ziemskiego życia nie szukają Boga, — nie znajdą Go nawet po śmierci!... Okazuje się, że żyli na próżno: nie o to dbali, nie to robili...

— I co — całkiem nadaremna zatem była ich egzystencja na Ziemi?

— Bóg nie stwarza nic bezużytecznego. Wszystko jest z pożytkiem i ma swoje przeznaczenie. Dotyczy to życia każdego stworzenia: zarówno wśród zwierząt i drzew oraz traw i kłosów. Aczkolwiek — przeznaczenie każdej istoty jest odmienne. I pożytek dla Boga z ich ziemskiego życia jest też różny.

Dla ludzi zaś jest istotne, aby mieli przemyślane zrozumienie sensu swojego życia!

Wszak ludzie to nie są nieme istoty, które, chociaż i mają swoje przeznaczenie, ale same nie są w stanie go zrozumieć: czyli tego, jaki pożytek powinny przynieść swoim życiem...

Ludzie przecież — mogliby pojąć cel swojego życia!...

Oto przykład dla ciebie:

Czy widzisz tych ludzi, którzy budują nową świątynię w naszym klasztorze?

Pośród nich są tacy, którzy myślą o swojej pracy to tylko, — że noszą oni kamienie.

Są też tacy, którzy myślą, że wykonują tę pracę, za którą dostają wynagrodzenie. I — że za te pieniądze będą sobie dobrze żyli.

Poza tym są wśród nich tacy, którzy wkładają w tę sprawę swoje siły dlatego, ponieważ budują ziemską świątynię dla Boga i właśnie to uznają za ważne. Z tego powodu ich praca niesie im radość!

Otóż tak samo — człowiek przez całe swoje życie może iść z mazołem, jakby dźwigał ciężkie ka-

mienie, nie widząc przy tym sensu swojego życia. I nie przynosi mu taka egzystencja — ani światła, ani radości, ani prawie żadnej korzyści!

Inny może żyć tak, jak gdyby wykonywał on z obowiązku swoją pracę — i otrzymywał za to wynagrodzenie: dobrze popracuje — otrzymuje dużo, źle popracuje — dostaje mało.

A może człowiek stać się świadomy przeznaczenia swojego życia — przed Ojcem Niebieskim! A wówczas — ulega przeobrażeniu i całe jego życie!

Wszelkie dzieło takiej osoby — jest tworzone z miłością do Boga, czy małe, czy duże! Każdy dzień życia staje się wtedy ważny! Ponieważ układa ona coraz to nowe cegielki, budując siebie-duszę. Jakikolwiek dobry uczynek — staje się taką cegielką!

A więc wzrasta serdeczna miłość takiego człowieka! I uświadamianie siebie-duszy przed Obliczem Boga wzmacnia się! Toteż Bóg jest dla niego wtedy — w każdej sprawie — Pomocnikiem, Doradcą i Przyjacielem!

Wówczas zaczyna on budować Świątynię dla Boga — w swoim duchowym sercu!

... Świątynie ziemskie — są potrzebne. Jednak są to tylko symbole tego, że Bóg mieszka też tu na Ziemi, zawsze na nas patrzy! Jakby przypominały one człowiekowi o Niebiosach, o innym życiu, o Ojcu Niebieskim!

Jednak w ziemskiej świątyni człowiek może stać, jako bezuczuciowy bałwan, nie być świadomym Bożej Obecności.

Jest inna możliwość: w każdym miejscu, bez względu na to, gdziekolwiek człowiek by nie był, on odczuwa Boga w Świątyni zbudowanej przez niego w swoim duchowym sercu. A wówczas ów człowiek jest

nieodłączny od Boga i drabina do Niebios stoi dla niego otworem!

Przeobrazić siebie, jako duszę, stając się duszą — na podobieństwo wielkiej płonącej świecy, która świeci i rozprasza ciemność — to przecież także jest praca wykonywana dla Boga!

Oznacza to przeobrażenie siebie-duszy w Ogień Miłości Bożej, oświetlający zarówno Świątynię Serca, jak i całą przestrzeń wokół!

Jednakże nie wszyscy uznają to za pracę...

Aczkolwiek jest to właśnie najistotniejsza praca w życiu ludzkim! Ponieważ jest ona wykonywana dla Boga!

... Świeca — tworzy ona swój mały płomyk i światło płynące z niej — jest niewielkie. Tymczasem, gdy patrzysz na taki ogienek, rodzi się nadzieja, że tam, gdzie jest zapalona świeca, ciemność nie ma już władzy.

A Ogień Miłości rozniecony w duchowym sercu — może być ogromny!

... Przecież każdy może prowadzić jasne i radosne życie, oświetlone serdeczną miłością!...

Dlaczego światło w duchowym sercu się zapala? I czemu bywa tak, że brak w duszy miłości?

Boża obecność w duchowym sercu — to Światło rozpala! Miłość Boża wylewa się na innych z serca takiego człowieka — i dzięki temu zapala się to Światło także w innych sercach!

A potem — Ogień Miłości w duszach może stawać się coraz to mocniejszy!

Czy słyszałeś określenie „domowe ognisko”? Tak mówią o tym domu, w którym panuje miłość. A o takim domu, w którym nie ma miłości — tak nie powiedzą!

Ogniem, wszystkich wokół ogrzewającym, odżywiającym, chroniącym — może stać się człowiek, w którym utrwaliła się Miłość Boża!

I wcale nie jest koniecznością dla takich ludzi, aby żyć jedynie swoją rodziną. Można przecież właśnie w ten sposób — budować relację z każdą osobą, jeśli pamiętać, że wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi: braćmi i siostrami dla siebie!

I może taki człowiek nieść w sobie Światło Boże!

Coraz to mocniej rozpala się Ogień Miłości w duszy! A wtedy — poznaje człowiek, co oznacza Serce Chrystusowe! Czyli poznaje on Miłość Bożą Wszechobejmującą!

I — odtąd jaśniej w duszy Źródło Miłości Bożej Niegasnącej! To — niczym Słońce! Słońce — jednakowo oświecila i ogrzewa wszystkie istoty!

Oto w ten właśnie sposób należy Bożą Świątynię budować, oświecilać i świecić z Niej, służąc tym — Bogu i ludziom!

Przypowieść o pokorze i życiu zakonnym

„W pokorze uznawajcie jedni drugich za wyżej stojących od siebie!”

Flp 2,3

„Gdy poniesiesz hańbę — raduj się: bowiem jeśli to niesprawiedliwe, to będziesz za to wielce wynagrodzony, a jeśli jest sprawiedliwe, to ucnotliwszy się przez to, uwolnisz się od bicia kary.”

**Z pouczeń ascetycznych
Nila Synaity**

„W pokorze nigdy nie może być pochopności, pośpiechu, mieszania, gorących i lekkich myśli, ale przez cały czas przebywa człowiek pokorny w spokoju. Nic nie może go zdumieć, wprawić w mieszanie, przerazić... Ale cała jego wesołość i radość — w tym, co podoba się jego Panu.

Ten, kto jest pełen pokory, [...] gdy pochyła swoją twarz do ziemi, a wewnętrzny wzrok jego serca jest wzniesiony ku bramie do Świętego Świętych [...] — odważa się mówić i modlić tylko w ten sposób: wedle Twojej woli, Panie Boże, niech się ze mną stanie!”

*Z pouczeń duchowych
Izaaka Syryjczyka*

W niewielkim klasztorze, położonym w prowincjonalnym miasteczku, leżącym nad brzegiem dużej rzeki, mieszkał starzec Zosima.

Z Bożą pomocą od lat pomagał on ludziom. Bóg dokonał wiele cudownych uzdrowień za pośrednictwem tego starca.

Dzięki jego pracy miało miejsce też mnóstwo innych wydarzeń, chociaż ludzie nie uważali je za cuda. Te osoby, które z nim rozmawiały, zyskiwały wiarę, nadzieję i miłość, uczyły się żyć świadomie i zgodnie z Bożą opatrnością.

I miał starzec ucznia — nowicjusza imieniem Mikołaj.

* * *

Mikołaj zapytał kiedyś Zosimę:

— Zosimo, dlaczego zdecydowałeś się zostać mnichem? Czy marzyłeś o rodzinie, dzieciach? Czy od razu — tylko o Bogu?

— Nie, nie od razu. Różnie w życiu było...

I o dzieciach marzyłem. Jednak Bóg tak to rozporządził, aby wszystkie dziatki Boże stały się moimi dziećmi. Obym — nie tylko o własne dzieci się troszczył.

Ot żyją ludzie — jak sieroty na Matce Ziemi, Ojca-Boga nie czują! Żyją w swojej samotności i błagają Boga — jak „Nieznanego Groźnego Sędziego” — aby był dla nich miłosierny! Ale sami nie odczuwają Tego, z Którym, zdaje się, próbują rozmawiać. Nie czują Jego Wielkiej Miłości i nie dają Mu swojej miłości w zamian!

To tak, jakby zapomnieli ludzie o wspaniałych możliwościach, otrzymanych od Boga! Zatracili umiejętność widzenia, słyszenia i rozumienia Ojca Niebieskiego. Zapomnieli, jak czynić cuda od Boga...

Dlaczego ludzie żyją tak, jakby Bóg w ogóle nie istniał? Czemuż samych siebie zanurzają do piekła na Ziemi już za życia ciał swoich?

Ponieważ ludzie utracili czystość dusz! A żeby przywrócić tę czystość, człowiek musi przede wszystkim tego zapragnąć!...

* * *

W tym czasie do celi starca Zosimy przyszedł młody nowicjusz. Przeżegnał się, uklonił się do ziemi, życzył Zosimie i Mikołajowi dobrego zdrowia.

Potem zapytał:

— Jak mógłbym nauczyć się słyszeć Głos Boży?

— Odpowiedz mu, Mikołaju. A ja będę słuchał.

Historia z uzdrowieniem chorego mnicha znacznie zwiększyła szacunek, który zaczęli okazywać w klasztorze Mikołajowi. I już wielu było skłonnych, by go słuchać, mimo, że nie przyjął jeszcze stanu zakonnego.

Zatem Mikołaj zaczął:

— Aby słyszeć Głos Boży, należy nauczyć się przebywania w ciszy serca. To znaczy — w milczeniu umysłu, w ciszy rozszerzonego serca duchowego. Będąc właśnie w tym stanie, gdy otwarte poprzez miłość serce jest wypełnione ciszą i ciepłem — i rozumiemy Pana Boga! Do oczyszczonego i otwartego serca duchowego możemy zaprosić Jezusa.

Duchowe serce jest początkowo ograniczone wymiarami ciała. Ale to tylko na początku, dopóki miłość duszy jeszcze nie nauczyła się poszerzać i łączyć z Bożą Miłością, Która nie posiada granic.

Serce Boże jest Bezgraniczne! Ono wszystko i wszystkich obejmuje, wszystko ogarnia Swoją Miłością!

A na początek wykonaj powolne wdech i wydech — kilka razy. Odczuj tę przestrzeń w klatce piersiowej, która wypełnia się powietrzem. To jest właśnie to miejsce, w którym znajduje się serce duchowe.

Spróbuj z tego centrum we wszystkich kierunkach wysłać miłość do wszystkich stworzeń Bożych!

— Jak to? Przecież miłość może doprowadzić do popełnienia grzechu!

— To — nie miłość, ale pożądanie! Natomiast miłość to drabina, która wskazuje właściwą drogę do Niebios! Miłość to latarnia duszy, co pośród wszelkiej ciemności i zła pozwala widzieć właściwą ścieżkę!

Przy czym nawet nie to należy uważać za pożądanie, gdy u mężczyzny pojawia się pociąg do kobiety lub u kobiety do mężczyzny... Ten pociąg dusz do siebie jest powołany po to, by nauczyć miłości i troski! Dla ludzi świeckich stanowi to ogromną pomoc w pozyskaniu umiejętności kochania!

Natomiast życie jedynie według własnych złych pragnień — i należałoby właśnie nazwać pożądaniem! I to nie ma znaczenia, czy człowiek zapragnął cudzej żony, czy grzesznego pożywienia dla dogodzenia swemu żołądkowi czy chce od innego człowieka tego, czego ten nie może mu dać.

Miłość w odróżnieniu od pożądania ma miejsce wtedy, gdy człowiek myśli, pragnie i działa dla drugiego, a nie dla siebie.

Otóż można nauczyć się patrzeć do przodu z serca duchowego, aby spojrzenie duszy pieściło niczym promień słońca wszystko, na co patrzysz! I do tyłu można nauczyć się patrzeć: tam, gdzie potem będziesz mógł zawsze ujrzeć blisko siebie Boga.

Kiedy zaczniesz widzieć Nieziemskie Światło oczami serca — przyjdź wtedy do mnie lub do Zosimy: powiemy ci więcej, co dalej robić.

W tym momencie przez okno celi widać było, jak do świątyni było wnoszone ciało na ceremonię żałobną...

Młody nowicjusz zapytał starca:

— Czy ty, Zosimo, mógłbyś jak Jezus przywrócić tego człowieka do życia?

Nie mogę: Bóg nie potrzebuje przedłużenia życia tej osoby w tym zniszczonym ciele...

Zauważ, że Jezus nie wszystkich uzdrawiał, nie wszystkich z martwych przywracał do ziemskiego życia. Nie po to przecież On się trudził, aby kalecy potrafili chodzić, a niewidomi przejrzeli! I nie w tym celu, aby do ciał, które już zostały oddane śmierci, dusze zostały przywrócone! Gdyby jedynie leczył chorych, wtedy ludzie na Ziemi nie pamiętaliby o Nim przez tysiąclecia. Lecz Moc Boża była objawiona przez Jezu-

sa w tym celu, aby Nauki od Boga ludzie zrozumieli i zaczęli żyć zgodnie z tymi Naukami!

Człowiek jest duszą, która wcale nie umiera wraz ze śmiercią ciała! Co więcej, dusza za życia swojego ciała jest w stanie nauczyć się żyć w jedności z Bogiem.

Oto martwe ciało, które leży w trumnie. Jest to samo jak za życia: ma ręce, nogi, głowę i serce... Jednak to ciało nie jest żywe! To dlatego, że Bóg wyjął z niego żywą duszę!

Tak oto dusza z ciałem, według Woli Bożej, jest i łączona i rozłączana.

Więc ważne jest to, co człowiek zdąży dokonać, póki Bóg napelnia jego ciało życiem. A zależy to od tego, na co człowiek skieruje swoje siły i zamierzenia. Oto chcesz zostać mnichem, to godne pochwały pragnienie! A kto jest mnichem? To ten, który żyje sam na sam z Bogiem i wszystko, co czyni, — to dla Boga!

Oto chcesz słyszeć Boże słowa i rady. To dobrze, to jest istotne! Najłatwiej to zrobić, zaczynając wsłuchiwać się w głos sumienia.

Sumienie to przejaw Głosu Bożego w człowieku, najpierwsza manifestacją. A poprzez uważne podejście do tego — potem całkiem dostrzegalny może się stać Głos Boży!

Jeżeli zaś człowiek próbuje ignorować wyrzuty sumienia, stara się odciągnąć swoją uwagę od stojących przed nim problemów, postępuje wbrew sumieniu według własnej samolubnej woli — to wówczas cichy głos sumienia stopniowo zanika. I wtedy dusza przestaje dostrzegać problemy, które trzeba rozwiązać. Wtenczas człowiek może wpaść w otchłań grzechu. A zatem żyje — bez sumienia, bez Boga! Tak

właśnie na niego i mówią — człowiek pozbawiony sumienia.

Jeśli natomiast człowiek odniesie się z uwagą do głosu sumienia i będzie starał się postępować w ten sposób, aby nic nie mieć sobie do zarzucenia, — to już wkrótce będzie mógł i Głos Boga usłyszeć, Który zawsze jest gotowy udzielić mu rady!

Naucz się baczenie patrzeć na to, jak żyjesz w obliczu Boga! Utrzymuj swoją duszę w czystości — a wtedy wszystko będzie łatwe: będziesz mógł poczuć duchowe serce, zaczniesz doświadczać Boga!

* * *

Pozostając we dwoje, starzec Zosima i Mikołaj prowadzili dalszą rozmowę o życiu zakonnym. O tym było powiedziano już wiele, ale znowu poruszyli oni ten temat.

Masz teraz możliwość, którą nie każdy dostaje. Wiedzę i umiejętności, które teraz już posiadasz, zwykle zdobywają tylko nieliczni po wielu latach życia zakonnego. A ty już zdążyłeś się nauczyć wiele rzeczy: odczuwasz Bożą Wolę, słyszysz Boże rady. Więc mógłbyś teraz wśród świeckich zacząć czynić to, czego nauczyłeś się ode mnie. Przed Bogiem pozostaniesz mnichem, a przed ludźmi będziesz mógł swobodniej wypowiadać się i wyjaśniać o Bogu.

Oto odejdę stąd, wtedy nie będzie ci łatwo, twoje życie może różnie się potoczyć...

Znów mnie sprawdzasz? Moja decyzja jest stanowcza i nie pragnę już doczesnego życia. A surowość życia zakonnego — zmniejszy we mnie dumę i doda pokory.

Zosima zamilkł. Jak gdyby spojrzał wewnętrznym wzrokiem wstecz na przebytą drogę... Przypo-

mniał sobie, jak był prześladowany i poniżany, jak zarzucano mu, że jest zwiedzony przez diabelskie machinacje, ponieważ... słyszy Boga! Jak przez te trudności — jeszcze mocniej złączył się z Wolą Bożą...

Nic o tym nie opowiadał Mikołajowi.

Mikołaj wiele się domyślał, ale sam o to nie pytał. Zaczął mówić o czymś innym:

— Czy mogę cię teraz zapytać, dlaczego to nie ty przewodnisz tym klasztorem? Przecież zmieniłbyś wiele reguł klasztornych... Poza tym dlaczego nie uczysz wszystkich mnichów tego, czego nauczasz mnie?

— Zadałeś dobre pytanie. Widocznie to ty sam będziesz musiał robić to w przyszłości, będziesz odpowiedzialny za wszystkich ludzi w tym klasztorze...

A żeby nauczyć człowieka czegokolwiek w sferze duchowej, konieczne jest pragnienie dwojga: tego, który uczy i tego, który się uczy.

Zdarza się, że przyjdzie mężczyzna do klasztoru i zostanie przyjęty — i już tylko z tego powodu uważa, że zbliżył się ku świętości. Bowiem unikanie pokus życia w świecie jest jego wielkim wyczynem...

Taki człowiek często myśli, że teraz — przeor jest odpowiedzialny za niego przed Bogiem, poucza go odnośnie życia z Bogiem, odpuszcza jego grzechy... I — że już samo życie w klasztorze przybliża go do Boga... To nie jest tak! Zarówno w klasztorze można, jak w świecie, żyć będąc związanym namiętnościami!

Jedynie sam człowiek może się zmienić. To tylko on sam powinien oczyszczać duszę. Bóg pozwala zbliżyć się do Siebie jedynie temu, kto żyje w ten właśnie sposób. Bądź blisko chociażby nawet pełen świętości mentor, jednakże on nie uczyni czystym

ucznia, który sam nie przestrzega w sobie czystości! Jedynie nieco podpowiedzieć może ten, kto wyraziściej dostrzega wady duszy: w czym tkwi grzech i jak tę wadę naprawić.

Tak, masz rację. Ja również często polegam na tobie — bardziej niż na samym sobie i na Bogu. Myślę, że mogę omyłkowo zrozumieć Wole Bożą...

—... I sądzisz, że ja nigdy się nie mylę i że uchronię cię przed wszelkimi błędami... — starzec Zosima i Mikołaj razem się roześmiali.

Zosima znów ucieszył się wewnętrznie ze zdolności Mikołaja do uważnego słuchania każdego z jego słów. I — nie tylko uzyskiwać w tych słowach rozumienie problemów innych ludzi, ale także śledzić w sobie nawet najmniejsze okruchy nieprawidłowego myślenia: „Nie na próżno Bóg go przyprowadził go do mnie, nie nadaremnie uczyć! Może rzeczywiście sprostą prawdziwej, wielkiej służbie! A może — i cały klasztor przejmie później na siebie...”

Kontynuowali rozmowę:

— Wielu ludzi sądzi, że jeśli grzech został odpuszczony przez kapłana w cerkwi, — to i zniknął grzech. Ale tak nie jest. Zatem jest bardzo ważne, abys nauczył się wyjaśniać to ludziom!

Przecież dusza będzie wolna od wady dopiero wtedy, gdy każdy grzeszny czyn stanie się dla duszy odpychający! Innymi słowy, wtedy człowiek nie będzie chciał i nie będzie w stanie czynić to, co jest nie stosowne! Otóż dopiero wówczas — można uznawać, że on zmazał swój grzech!

Wśród naszych braci są tacy, których Pan Bóg pomógł nauczyć wewnętrznej ciszy. Zaczęli uczyć się miłości serdecznej. Ale widzisz! — nie wszyscy zro-

zumieli, że to jest naprawdę koniecznością: że tylko duchowe serce, otwarte na Boga, pozwala zaprawdę prowadzić życie zakonne! Jedynie serce przepelnione miłością warunkuje możliwość oczyszczania duszy, wykonywania jakiegokolwiek uczynku — jako służbę dla Boga!

Mikołaj słuchał uważnie, a następnie powiedział:

— Ale ja wciąż nie zawsze potrafię uniżyć swój umysł... Niekiedy pojawia się we mnie potępienie tego, co złe. Nadal mam nierozstrzygnięte kwestie. Widzę zło, słyszę złośliwe słowa — i narasta we mnie odrzucenie tego.

— Widzieć i pojmować, że właśnie to jest złe, nie jest grzechem potępienia! Przecież, nie dostrzegając tego, co złe w człowieku, nie zdołasz mu pomóc!

— Tak, rozumiem to, ale nie mogę tego rozgraniczyć ostatecznie.

Przedtem w młodości tak, jakbym widział w ludziach tylko to, co jest dobre — i myliłem się co do nich, i moi najlepsi przyjaciele mnie zdradzali... A potem — wręcz przeciwnie, zacząłem dostrzegać w ludziach wszystko, co złe, zacząłem widzieć obrzydliwość i brud. A wówczas nadeszła rozpacz, a nawet wtedy utraciłem wiarę...

Więc teraz uczę się widzieć wszystko tak, jak ty. I nie potępiać, ale właśnie szukać tego światła w duszy człowieka, które chociażby nawet troszeczkę się tli, i zwracać się właśnie do tego światła, a nie do ciemności z wad, które próbują to światło zgasić.

— Tak, właśnie to jest potrzebne. Ważne jest, aby widzieć wszystkie wady i problemy duszy, ale jednocześnie dostrzegać w niej to świetliste, co jeszcze istnieje. A więc, jeżeli zwracać się do tego najlep-

szego, co ma w sobie człowiek, gdy z nim prowadzisz rozmowę, — to pojawia się szansa, że poczuje on Rękę Bożą, Która jest zawsze do niego wyciągnięta! I jeśli ten człowiek odczuje Bożą Obecność, będzie się trzymał Ręki Bożej, — to wtedy będzie mógł zacząć wydostawać się z otchłani wad. Jeżeli, oczywiście starczy mu rozumienia dla takiej pracy nad przemianą siebie-duszy.

— Umysłem to wszystko ogarniam. Ale nie zawsze mi się to udaje — nie potępiac... Na przykład, gdy mówią o tobie niesprawiedliwie...

Oto wczoraj nasz przeor wezwał cię znów do siebie... Pewnie cię ponownie pouczał i upokarzał wszelako! Dlaczego zawsze wysłuchujesz jego reprimend, jakby były one sprawiedliwe? Nie kwestionujesz nawet oszczerstw zwalanych na ciebie! Przez ciebie, mówi Bóg, poprzez ciebie dzieją się cudowne rzeczy, przynoszące chwałę klasztorowi — ale ty, jak gdybyś nie miał prawa zaprzeczyć?

— Nie wyrokuj przedwcześnie, jeśli nie wszystko o człowieku widzisz i wiesz.

Łatwo zauważalne są wady tego, który jest na oczach wszystkich, który podjął się rządzenia ludźmi.

Zrozum, Mikołajku: nigdy nie zdarza się człowiekowi to, czego Bóg nie potrzebowałby! Do naszego życia wkraczają tylko te wydarzenia, dzięki którym powinniśmy stać się mądrzejsi i czystszy lub za pomocą których nasi bliźni mogliby uświadomić coś ważnego!

Jeśli człowiek, który jest niesłusznie krytykowany nie jest winny, to dzięki temu inni mogą dostrzec swoje wady!

Jednak może to nastąpić tylko wtedy, gdy dusza prawego jest w stanie spokoju i subtelności, podob-

nie do gładkiej tafli jeziora podczas bezwietrznej pogody.

Natomiast, gdy człowiek próbuje zaprzeczać i udowadniać swoją rację, wówczas nie powstanie z tego nic, tylko sprzeczka! A z kłótni jest mało pożytku, ponieważ osoba, która się kłóci, zawsze słyszy tylko siebie, swojej racji stara się dowieźć. Nawet jeśli powstrzymujesz sprzeciw w sobie, nie wyrażasz słowami — wtedy też twoje wewnętrzne zaprzeczanie nie pozwoli innemu człowiekowi pomóc.

Otóż z głębokiego spokoju — wraz z Bogiem — należy patrzeć na wszelkie sytuacje! Z tego spokoju — i wyłonią się właśnie słowa, zaproponowane przez Boga, które można będzie wypowiedzieć na głos.

Co więcej, jedynie z tego spokoju w głębi twojego rozszerzonego serca duchowego, gdzie Bóg jest jawny, a obcowanie z Nim jest wyraźne, — dobro i zło są wyraziście rozpoznawalne!

... Niemniej jednak niekiedy — nawet nie ma sensu rozmawiać z człowiekiem nierozsądnym i składającym się wyłącznie z wad: wypowiedziane słowa niczego w nim nie zmieniają... Czyli nie nadszedł jeszcze czas, aby ta osoba zrozumiała... Nie wszystkim — można pomóc już teraz...

A nasz przeor to dobry człowiek: silny, wytrwały. Byliśmy kiedyś bliskimi przyjaciółmi, marzyliśmy o czystym życiu dla Boga, śniliśmy o wielkich duchowych czynach... Potem los nas rozdzielił. Kiedy tu przybyłem, on już kierował klasztorem, mając wysoką rangę i już wtedy zrobił wiele. Ja zaś byłem prześladowany przez wszystkich... I nie miałem nic oprócz Boga w sercu...

— Więc prawdopodobnie przyjął cię tutaj z powodu dokonywanych poprzez ciebie cudów, aby przynieść chwałę klasztorowi?”

— Nie, nie wiedział o tym. Ale ja już wtedy wiedziałem, że Bóg może przejawiać Swoją Moc przeze mnie. A on — tego nie znał, a jednak pomógł...

Ignacy nie ma w sobie zazdrości! Ale to, co ziemskie — trzyma go mocno, nie dopuszcza do Wolności Bożej. Ale przecież mógłby: moc duszy w nim tkwi wielka!...

Ale kiedy człowiek wznosił się wysoko ponad innych ludzi, nie jest mu łatwo poczuć się małym i rozpocząć własną naukę! Nielekko mu swoją wolę — przemienić w pełni na wolę Bożą! Niełatwo odrzucić wszystko, co ma w sobie od człowieka doczesnego.

Trudno też ukorzyć w sobie dumę człowiekowi, zabiegającemu o sprawiedliwe życie w oczach Boga, — i stać się narzędziem Bożej Opatrzności!

* * *

Starzec Zosima zamilczał na długi czas. Przypomniawszy sobie, co dawniej, w młodości, łączyło ich z Ignacym: wzniosłe marzenia, pragnienie służenia Bogu... Wspomniawszy też to, jak później, po wielu latach przybył do tego klasztoru. Wtedy Bóg powiedział do niego: „To jest miejsce, w którym będziesz żył i się trudził na Chwałę Bożą — aż do końca dni twojego ciała. Tutaj — będziesz mógł dokonać najwięcej dobra!”

A Ignacy spojrzał na niego wtedy, jak na jakiegoś nieszczęśnika, który nie zdołał nic osiągnąć w swoim życiu... Zaczął opowiadać mu o swoich planach i ważnych sprawach... Jednak — nie odesłał

będącego w niełasce, ale pozwolił mu zamieszkać w klasztorze...

Wprawdzie teraz prawie przez cały dzień Zosima był zobowiązany do wykonywania działań, które za wiele korzyści nie przynosiły, a nieraz i całkiem bezsensownej pracy.

Przerobił wtedy wiele lekcji cierpliwości i pokory. I nauczył się — duchowej nierozłączności duszy z Bogiem, bez względu na to, czym ciało było zajęte. I bardzo wiele korzyści przyniosła ta pokora i cierpliwość.

Starzec przypomniał sobie też to, jak po pewnym czasie Ignacy po raz pierwszy zobaczył Moc Bożą, poprzez niego, Zosimę, przejawioną.

Wówczas został uzdrowiony niewidomy chłopiec. Bóg to objawił na oczach wszystkich.

Wtedy Ignacy pojął, co się stało. Zbladł...

Potem rozmawiali sam na sam:

— Czy od dawna, Zosimo, to potrafisz?

— Pierwszy raz to się zdarzyło dawno, około dziesięciu lat temu... Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co i jak... A teraz już znam Wolę Bożą i nieustępliwie za nią podążam. I to właśnie Bóg może czynić to, co jest potrzebne dla Jego Największej chwały! Ale ja sam bez Niego — nic nie mogę.

To wtedy Ignacy przydzielił właśnie specjalną celę i pozwolił przyjmować ludzi. I dozwolił żyć nie według reguły klasztornej.

A on sam — jak gdyby się zasklepił w sobie, gdyż: „Pan Bóg mnie nie obdarzył... ”.

Ale nie zaczął się uczyć tego, co mógłby opanować.

A później był jeszcze moment, kiedy Ignacy mógł zrobić postęp...

Przypomniat sobie Zosima, jak miał wówczas nadzieję, że uda mu się pomóc Ignacemu ujrzeć Boga.

Wtedy Ignacemu przydarzyła się choroba. Ledwo mógł ustać z bólu na nogach, z trudem mógł mówić, ale nabożeństwa nie powstrzymał...

Potem mnisi zanieśli go na rękach do komnat. Jednak Ignacy nie wezwał Zosimy by go leczył, nie poprosił go o pomoc...

Zatem Zosima przyszedł sam.

Ignacy leżał blady, jakby poszarzały z bólu. Ale jęki tłumił...

— Co, nadszedł już czas, by umrzeć? — spytał.

— Nie, nie teraz, Ignacy. To — kamyki wychodzą z nerek. Wkrótce poczujesz ulgę. Ale wybac mi, Bóg nie pozwala na całkowite usunięcie twego bólu...

Kiedy czujesz ból, przypominaj sobie wszystkie swoje niegodziwe myśli i czyny, proś Boga o przebaczenie! Wraz z tymi kamykami będzie cię opuszczało wszystko, co nieczyste i ciężkie! Będziesz zdrow — jeszcze mnie przeżyjesz! Bóg zesłał ci to dla oczyszczenia duszy!

— Wybac mi, Zosimo! Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy... Może to — przez zazdrość?... Przecież jedynie siebie przedtem uznawałem za nienagannego i sprawiedliwego... Ale Bóg czyni poprzez ciebie cuda, ciebie wybrał...

Przez cały tydzień Zosima był stale przy nim.

Wtedy Ignacy złagodniał, uważnie słuchał, robił wiele...

Ale potem znów się zmienił. Zechciał Mocy Boga w sobie doświadczyć i... to mu nie wyszło... Raz, drugi — wciąż nie wychodziło... I — jakby drzwi się zatrzasnęły... Ale on sam to wybrał, sam przestał próbować układać od samego początku swoje nowe

życie z Bogiem... I jak gdyby uraz pozostał, że mu się to nie udało...

To nie jest łatwe: pozwolić, by rządziła tobą tylko miłość! Umysł przeszkadza! Wola, pochodząca z ludzkiego ego, stoi na przeszkodzie!

Ale przecież mógłby...

* * *

Po chwili milczenia Zosima kontynuował rozmowę:

— Ignacy — dużo mi pomógł. Dzięki temu — właśnie pomagam innym. Ale ja dotychczas tylko niewiele zdołałem mu pomóc...

Aczkolwiek z każdej naszej rozmowy z nim — wynosi on nowe zrozumienie, choć jak dotąd niewielkie. I przecież pozwolił cię uczyć! Przy tym nie tak, jak wszystkich nauczać, ale w ten sposób, abyś mógł mnie zastąpić, kiedy odejdę...

— Co też mówisz! Ale któż może cię zastąpić?

— Zastąpić czy nie, ale moją pracę po mnie — ty właśnie będziesz musiał wykonywać!

Powiedziałem ludziom wiele słów z ciszy serca, w której przebywa Stwórca. A teraz mnie już milczenie — bardziej wypada, niż mówienie.

Czasami człowiek musi usłyszeć najpierw słowa, aby zrozumiał on Miłość Bożą, aby potrafił odczuć Jego Wielką Ciszę, uświadomić sobie Jego Obecność w niej.

I powinienes nauczyć się wypowiadać słowa w ten sposób, aby niosły w sobie tę właśnie Ciszę Stwórcy, Ojca-Boga naszego. Musisz teraz uczyć się tego, aby twoje słowa bądź milczenie przekazywały temu człowiekowi, który przyszedł do ciebie po radę i pomoc, poczucie obecności Boga.

Wiele słów zostało powiedzianych i zapisanych, że Jezus — Żywy, Zmartwychwstały — zarówno teraz jest z nami! I — że Ojciec Niebieski jest Wszechobecny, Wszechmocny, Wszechwiedzący! Ale dopóki dusza sama tego nie doświadczy, dopóki miłość Boża nie dotknie serca, dopóty słowa pozostaną powtarzaniem modlitewnym lub głoszeniem czczym...

Ważną rzeczą jest to, jak milczysz, jak mówisz, jak słuchasz, — aby Obecność Boga dosięgła duchowego serca twojego rozmówcy, aby brama do najtajniejszego sanktuarium duszy została szeroko otwarta!

Twoja kolej nadchodzi — udzielać duchowej pomocy ludziom. Teraz ty, zamiast mnie, będziesz wysłuchiwał tych, na których wskażę.

Bardzo wielu ludzi zaczęło teraz przybywać... Jestem zmęczony... Znużony ludzkimi pragnieniami...

Gdyby zrozumieli, że żyjemy nie dla siebie, lecz dla Niego, to może by się opamiętali... Ale nie jest łatwo wytłumaczyć to ludziom... Przecież tyle już powiedziano o miłości do bliźniego...

Zosima westchnął:

— Chodźmy do ogrodu... Przynieśli mi sadzonkę wiśni. Posadźmy razem drzewko!

* * *

Następnego dnia dwoje nie młodych już ludzi weszło do celi starca Zosimy — mąż z żoną.

Mikołaj wyczuwał ich nieufność wobec niego. Udali się przecież po radę do Zosimy, a nie do nowicjusza, nieznanego nikomu!

Ale starcowi Zosimie wcale to nie przeszkadzało. Uprzejmie powitał przybyszy i powiedział:

— Przy nim teraz mówcie! To właśnie za jego pośrednictwem Bóg da wam radę.

— Jak żeś? Przyszliśmy przecież do ciebie...

— Nie do mnie, do Boga!

I spłynęła Cisza Boża. Łagodny, przejrzysty Pokój ogarnął wszystkich z zewnątrz i od wewnątrz.

A Mikołaj nie pojmował: czy on sam zdołał zbliżyć ten stan Boży, czy to starzec Zosima pomógł uczynić Bożą Obecność tak namacalną, czy też Boża Pomoc została przez Niego Samego objawiona?

Przybysze zaczęli mówić:

— Przyszliśmy prosić Boga o dziecko. Modlimy się od wielu lat, ale nadal nie mamy dzieci. Wszakże w Piśmie Świętym są opisane przypadki, że z Woli Bożej również na stare lata Bóg pozwala urodzić dziecko... Ale widać nie jesteśmy godni tego miłosierdzia. Jak możemy uzyskać tę łaskę, co mamy zrobić, aby na to zasłużyć?

Mikołaj od razu odczuł sens odpowiedzi, którą musiałby udzielić. Przez jakiś czas dobierał słowa, a potem rzekł:

— Dlaczego koniecznie chcecie urodzić własne dziecko? W sierocińcach mieszka wiele dzieci, które są pozbawione opieki rodzicielskiej.

Weźcie stamtąd dziecko i wychowajcie. I sami będziecie szczęśliwi i dziecko odnajdzie troskliwych rodziców!

— Zastanawialiśmy się nad tym... Ale co wtedy, gdy nie będziemy w stanie pokochać cudzego dziecka? Co jeśli dzieciak będzie miał trudny charakter, nie poradzimy sobie z tym?

— Czy to nie zdarza się także w przypadku własnych dzieci? Czy tak się nie dzieje, że rodzice nie mogą sobie poradzić z ich wychowaniem? ”

— Myśleliśmy, że Pan Bóg pomoże...”

W tym momencie starzec Zosima dołączył do rozmowy:

— Właśnie Bóg i pomaga! Ale czy usłuchacie Jego rady? Czy Jego pomoc zostanie przyjęta z pokorą? Poza tym czy sami zechcecie wyświadczyć pomoc innemu?

Sto wiorst od waszej posiadłości znajduje się sierociniec. Jest tam dwunastoletnia dziewczynka, o imieniu Tatiana. Szczupłutka, trochę chorowita. Ale kiedy zamieszka z wami, — wzmocni się na świeżym powietrzu! Ta dziewczynka mogła się u was urodzić, ale wtedy nie chcieliście dzieci. A obecnie — i ona jest sierotą, i wy jesteście sami... Ale teraz można to łatwo naprawić. Ona może stać się dla was córką...

— Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wzięli małe dziecko, aby nie wiedziało, że zostało adoptowane? O takim właśnie myśmy marzyli...

— Przysłiście przecież prosić Boga o radę i pomoc...

A teraz — pomyślcie i sami decydujcie, jak będziecie dalej żyć.

Wiele osób gotowych jest do usynowienia małych dzieci. Otóż adopcja Tatiany mogłaby bardzo wiele zmienić w jej losie. W waszym życiu również wszystko ułoży się w nowy sposób. A co do niańczenia — to będziecie wnuki niańczyć.

Zosima uśmiechnął się w osobiwie — tak samo, gdy Bóg pozwalał mu zajrzeć w prawdopodobną piękną przyszłość:

Uda wam się uzyskać ten cud, o który Boga prosiliście! Zgodnie z Bożą opatrnością — potraficie postąpić! A teraz idźcie...

Para skłoniła się bardzo nisko i wyszła.

Tuż za progiem kobieta cicho spytała męża:

— Ale po Tatianę już dzisiaj pojedziemy?

Mikołaj nawet nie wiedział: czy usłyszał te słowa czy po prostu pojął istotę tego, co działo się w duszach. Ale został jak gdyby całkowicie zalany przez radość i czułość!

— Czy udało się? — spytał on starca Zosimę.

Ten serdecznie się uśmiechnął:

— To jakbyś sam nie rozumiał?!

Wygląda na to, że zrozumiałem. Tylko tak, jak tobie, — na razie mi się nie udaje. Dopóki tego nie powiedziałeś, dopóty dziewczyny nie widziałem...

— Nie szkodzi, jeszcze się nauczysz wnikać dogłębnie w każdą sytuację z pomocą Boga!

* * *

Jednak Mikołajowi nie zawsze udawało się odczuwać Boga, gdy ludzie zwracali się do niego z pytaniami i problemami.

Jedynie gdy byli razem ze starcem Zosimą, wszystko szło łatwo. Natomiast gdy ludzie przychodzili do niego samego ze swoimi smutkami, a on czuł, że cała odpowiedzialność spoczywa tylko na nim, — niekiedy nic się nie udawało! Po kilku poważnych niepowodzeniach Mikołaj poprosił starca Zosimę:

— Widać, nie jestem jeszcze gotowy! Nie każ mi robić czegoś, do czego się nie nadaję...

Zosima nie zaprzeczał.

Jednakże z tego powodu Mikołajowi było ciężko! Czuł się niegodny i nie wiedział, jak znaleźć wyjście. Był tym udręczony...

Pewnego dnia Zosima wręczył Mikołajowi gruby zeszyt z pożółkłymi ze starości stronami.

— Proszę, weź to. Nie pisałem kazań. Nie spisałem też wszystkiego, co słyszałem od Boga. Nie sądziłem, że ktokolwiek będzie tego potrzebował... Niemniej jednak jest tu co-nieco. Może tobie się przyda.

Mikołaj wziął to z namaszczeniem, podziękował. Udał się do siebie do celi.

Otworzył zeszyt z notatkami Zosimy na chybił trafił i przeczytał:

Przygnębienie oznacza brak Boga w twoim życiu.

Gdy tylko pojawiło się przygnębienie, oznacza to, że miłość do Boga ostygła. I miłość do bliźnich również zmalą.

Jeśli zachowujesz Boga w swoim sercu, jeśli serce duchowe co sekundę rodzi miłość i serdeczne ciepło, — to przygnębienie się nie pojawi.

Mikołaj przeczytał to i jakby oparzyły go te słowa! A już mu się wydawało, że był mocno ugruntowany w dziedzinie duchowości, ale okazało się, że tak nie jest.

Czytał dalej:

Bezsilność — dlaczego powstaje? Ponieważ siła woli w człowieku osłabła. Jego dawne aspiracje — już nie są jemu tak bliskie. A co najważniejsze — nie widzi, że jego trud jest potrzebny Bogu.

Jak Apostołowie dokonywali wielkich czynów? Poprzez Swoją Miłość do Jezusa i Ojca Niebieskiego otwierali Oni dostęp dla Mocy Boga, która przez Nich płynęła! I tę Moc kierowali Oni do ludzi, którym starali się pomóc.

Pragnęli Oni wiedzę otrzymaną od Jezusa, pozostawić ludziom na Ziemi!

Świat ludzi — potępia, sędzi i karze...

Bóg zaś tego nie robi. On kocha wszystkie Swoje dzieci, nawet tych zbłąkanych. I wszystkim — życzy dobra i jest gotów wskazać drogę do świetlanego życia!

W tym — istota Bożego przebaczenia.

Sąd ludzki musi istnieć na Ziemi, aby powstrzymać zło tych, którzy są ślepi i głusi będąc pogrążeni w nienawiści i innych wadach...

A czym jest „Sąd Boży”? To wtedy — gdy sam człowiek, w obliczu Boga, uświadamia sobie swoje wady i widzi swój przyszły los...

Ten, kto służy Bogu, powinien uczyć się Bożego przebaczenia: bezwarunkowej Boskiej Miłości, która, podobnie jak Światło Wielkiego Słońca, emanuje na wszystkich jednakowo!

Dla każdej ludzkiej duszy, którą Bóg wysłał na Ziemię, istnieje wykonalne dla niej zadanie! I realizacja tego zadania może stanowić wielki wyczyn przeobrażenia i siebie, jak i tego, co jest wokół!

Nawet jeśli dzieło, które Bóg może powierzyć tej duszy, nie jest na razie jeszcze wielkie, to będzie bardzo dobrze, jeśli człowiek zacznie wykonywać je z radością!

Jeśli z pragnienia tworzenia dobra, człowiek zacznie działać zgodnie z Bożym Zamierzeniem, to będzie wspaniale!

Ważne jest, aby nie tylko powiedzieć człowiekowi pocieszające słowa. Takie słowa łatwo zapomnieć — i ta osoba znów zacznie szukać pocieszenia u innych...

Ale trzeba zobaczyć to, co będzie dobrem dla owej duszy — i pokazać człowiekowi możliwość rozwiązania tego zadania, które Bóg przed nim postawił, właśnie z radością i zrozumieniem!

Dlaczego potępiasz swoich młodszych braci za to, że są nierozumni?

Zrozumienie przyjdzie do każdego w swoim czasie!

Mówią, że „od miłości do nienawiści jest jeden krok”. To nie jest prawda! Ten, kto może zacząć nienawidzić swego bliźniego, którego, jak myślał wcześniej, kocha, — to znaczy, że tak w rzeczywistości, go wcale nie kochał!

Miłość — wybacza winowajcom krzywdy, które poprzez nich przyszły!

Mówi się, że „Bóg nakazał cierpieć”...

I głupiec będzie cierpiał i cierpiał, podczas gdy inni wyrządzają mu krzywdę...

A mądry odsunie się od zła, którego nie jest w stanie naprawić ani zmienić.

Jeśli masz zabrudzone ręce, — to powinieneś je po prostu umyć.

Nie trzeba czekać, aż brud sam odpadnie.

I nie należy prosić Boga o pomoc w tej sprawie.

Podobnie też siebie — jako duszę — człowiek powinien zachowywać w czystości!

Musisz oczyścić wszystko w sobie samodzielnie: i ciało, i umysł i emocje swoje! Wszystko to należy utrzymywać w czystości! Bez tego nie uda się postrzegać tego, co Najpiękniejsze: to znaczy słyszeć i odczuwać Boga!

Jak można pozbyć się przeciwstawiania się woli Bożej?

Piasek przepuszcza przez siebie wodę, glina — nie. Naturalne właściwości materii są różne.

Dlaczego materia cielesna zaczyna chorować? Zwykle z tego powodu, że na nią wpłynęły wadliwe cechy duszy.

**Te właściwości duszy powinno się przeobrazić.
I odstąpią wówczas choroby ciała, a dusza zajaśnieje czystością!**

Gdy dusza nie kocha, to tak, jakby umierała!

Człowiek może wydostać się z otchłani grzechów, wad i cierpień — i wznieść się, wstąpić do życia w Czystości i Miłości Bożej!

Cisza duchowego serca wypełnia się Słowem Bożym — a wtedy zrozumienie przenika w duszę!

Czytając wielokrotnie nauki starca Zosimy i przypominając sobie wszystko, czego już zdążył od niego się nauczyć, Mikołaj wciąż na nowo podnosił swój stan umysłu do percepcji Ducha Świętego, uczył się trwałej Jedności z Bogiem.

*** * ***

Czas mijał, a Zosima nadal nie wołał Mikołaja, aby pomóc przychodzącym.

Tego dnia Mikołaj był zajęty klasztorną pracą gospodarczą: rąbał drewno na opał. Uwielbiał taką pracę. Przyjemnie było patrzeć na jego krzepkie, mocne ciało, gdy posługiwał się siekierą.

Nieoczekiwanie został wezwany do starca: „Zosima mówi, że jest dla ciebie ważne zadanie”.

W celi starca znajdował się chłopiec w wieku około piętnastu lat. Jego prawa ręka zwisała bezwładnie, jak bat. Widać było, że przyszedł prosić o uzdrowienie.

Starzec powiedział do Mikołaja:

— Oto dzisiaj jest praca dla ciebie: będziesz mógł uzdrowić Pawełka!

Mikołaj nawet nie zdążył nad tym się zastanowić, jak odczuł, pojął, jak powinien postępować. Światło

Ducha Świętego ogarniało, jak Potokiem Wielkiej Rzeki!

— Chodźmy: pomożesz mi narąbać drewna dla klasztoru! A to porzuciłem tę pracę i przybiegłem tutaj, — przyjaźnie powiedział Mikołaj do chłopaka.

Tamten odparł posępnie:

— Zły ze mnie pracownik: prawa ręka już od dawna odmawia posłuszeństwa, zupełnie jej nie czuję...

— To nie szkodzi! Zaraz to się wyjaśni! Chodźmy!

Gdy szli, Mikołaj stabilnie i mocno odczuwał, jak Duch Święty przepływa przez ich ciała. Mikołaj tylko nieco ukierunkowywał Potok z Głębin wzdłuż kręgosłupa chłopca i do wewnątrz jego chorej ręki...

Widział te strumienie Światła Bożego, sam stąpił się z Nimi w duszy i jakby skądś z zewnątrz, słyszał, jak chłopak opowiadał, że wstydzi się swojej niemocy, że jedna dziewczyna jest miła jego sercu, a jak tu się do niej zalecać? — kaleka... A na wsi też — co to za mężczyzna bez ręki?

Kiedy dotarli do sterty drewna, Paweł zaskoczony poruszył palcami prawej dłoni:

— Czuję mrowienie... I — popatrz! — palce się poruszają!

Mikołaj nie dał mu czasu na opamiętanie się:

— Jeśli się ruszają, to chwyć siekierę! A to już namachałem się dzisiaj! Ale nie w ten sposób! Jedną ręką niewiele zrobisz: trzymaj obiema!

Pracowali przez około godzinę, na przemian: albo pracując siekierą, albo układając stertę drewna. Przez cały ten czas Boskie Światło przepływało przez ich ciała.

— Dobra robota, pomocniku! Bardzo mi pomogłeś! Szybko z tobą to zrobiliśmy! Jutro twoja ręka będzie trochę bolała, ale nie obawiaj się! To dlatego, że przez długi czas była bezczynna. Pójdź do gorącej łaźni parowej! I jeszcze jedno: poprosimy starca Zosimy o maść leczniczą.

Wstąpili do świątyni. Nabożeństwa nie było. Panowała cisza.

— Ty, Pawle, podziękuj Bogu za uzdrowienie!”

— Znam mało modlitw... Którą z modlitw należy zmówić?

— A ty — nie modlitwą! Powiedz to własnymi słowami! Bóg przecież słyszy wszelkie słowa, a nawet myśli!

I zapamiętaj, że skoro Bóg przywrócił moc do twojego ramienia, to zawsze dla dobrych uczynków twoje ręce powinny się trudzić! I nigdy nie czynić zła!

Mikołaj stał w pobliżu i żadne słowa nie mogły wyrazić jego wdzięczności Bogu.

W drodze powrotnej, na ścieżce do celi starca, spotkali małego kotka. W klasztorze było kilka kotek, które regularnie przynosiły spore potomstwo.

Mikołaj pochwycił mruczącego łagodnie zwierzę w ramiona i powiedział do Pawła:

— Weś, pogłaszcz go!

Paweł delikatnie dotknął puszystego futra dłonią zdrowiejącą ręką...

— Taki słodki!... Pewnego razu w dzieciństwie kazano mi utopić kocięta. Nie chciałem, płakałem, ale byłem posłuszny. Od tamtej pory nigdy nie głaskałem kociaków, jakbym był wobec nich winny...

— A czy twoja urocza dziewczyna ucieszy się z takiego prezentu?

— Tak! A mogę?

— Możesz! Trzymaj go! Niech przyniesie wam
szczęście!

* * *

Kiedy drzwi celi zamknęły się za Pawłem, Zosi-
ma pochwalił go:

— Ależ, Mikołaju! Dobra robota! A mówiłeś: nie
mogę, nie wychodzi! Z Bogiem — wszystko jest wy-
konalne!

Ale jak ustalić: gdzie jest granica ludzkich moż-
liwości? Przecież, kiedy dojdiesz do krańca — to
Bóg rozwiera przed tobą nową bramę, nowe nieprzej-
rzane horyzonty dla dokonań się otwierają, Bóg sta-
wia przed duszą nowe zadania!

Umysł, z sercem duchowym połączony i rozja-
śniony Miłością Bożą, nie będzie już niczym zamąco-
ny! Bóg kieruje wtedy wolą człowieka, który całkowi-
cie poświęcił się służeniu Bogu! I na każdą chwilę —
znajdą się takie słowa, które pomogą innej duszy! I
Moc będzie się kryła w twoich słowach — wielka!

Słowa te Bóg wypełnia Swoją Mocą poprzez
twoje otwarte i przestronne serce duchowe.

Przypowieść o śmierci i zmartwychwstaniu

W małym prowincjonalnym miasteczku był
klasztor. Mieszkał w nim starzec Zosima, obdarzany
wielkim szacunkiem przez wielu ludzi za cuda Boże,
które towarzyszyły jego słowom i ozdabiały jego
uczynki.

Miały miejsce też takie działania starca, o których wiedziało tylko niewielu; wspaniałość tych dzieł pozostawała ukryta przed ludzkim rozgłosem.

Łagodnie i delikatnie umiał starzec kształtować i kultywować dobro i miłość w sercach ludzkich. I miłość ta rozkwitała — i wydawała owoce.

W tym mieście znajdował się także bezpłatny szpital. Został on założony za środki zamożnego kupca, którego córka była uzdrowiona przez starca Zosimę. Wiele rzeczy w szpitalu było realizowanych za datki osób, którym starzec wyświadczał pomoc. Szpitalem tym kierował doktor Fiodor Pantelejmonowicz.

* * *

W rodzinie doktora Fiodora Pantelejmonowicza dorastała córka. Dziewczynka miała na imię Sofia, ale zwykle wszyscy nazywali ją pieśczośliwie Zosią. Możliwe, że stało się tak dlatego, że znany tylko niewielu osobom cud jej narodzin był związany ze starcem Zosimą.

Toteż starzec Zosima zwracał szczególną uwagę na wychowanie dziewczynki.

Kiedy Zosia podrosła, stała się częstym gościem w jego celi.

Ona uwielbiała zadawać mu pytania i słuchać jego odpowiedzi. Podobało się jej też po prostu spokojnie siedzieć w niezwykłej ciszy, która zawsze miała miejsce w celi starca Zosimy.

Wtedy — jak gdyby wszystko w niej cichło. Jej radość — żywa, promienna, emanująca na wszystkie strony — przeistaczała się w nadzwyczajny stan subtelnego światła, łagodnego spokoju i skupienia na Bożej Obecności.

Rodzice Zosi poświęcali prawie cały swój czas i energię na pracę w szpitalu.

Zabawa lalkami lub gra w berka z rówieśnikami nie mogły na długo pochłonąć uwagi Zosi. Za to w życiu szpitala jej rola wzrastała z roku na rok.

Jak promień słońca, który delikatnie przesuwa się i dotyka wszystkiego swoim ciepłym światłem i niczym się nie brudzi, tylko sprawia, że wszystko jest piękniejsze, tak i Zosia sunęła po salach szpitalnych, jakby robiła swój własny obchód. Niekiedy zatrzymywała się przy kimś na dłuższy czas. Nieraz opowiedziała chorym dzieciom bajki. Zdarzało się, że nawet dorosłych rozbawiła.

Początkowo doktor Fiodor próbował uchronić swoją córkę, przynajmniej przed ciężko chorymi pacjentami, aby nie przestraszyć dziewczynki widokiem ludzkiego cierpienia. Ale pewnego razu zastał Zosię przy łóżku osoby umierającej, której nie mógł już sam pomoc środkami medycyny. I zobaczył on, jak dziewczynka rozmawiała z tym człowiekiem... i zauważył, jak nagle zmienił się jego stan...

Ten człowiek powiedział potem doktorowi Fiodorowi: „Otóż dostałem miłosierdzia Bożego: przyszedł do mnie anioł! Więc teraz nie boję się umierania!”

Zatem od tego czasu już nie zabraniano Zosi odwiedzania nawet ciężko chorych. Ona zaś była zawsze gotowa: poda wodę, zawoła sanitariuszkę lub po prostu powie dobre i miłe słowo, obdaruje słonecznym uśmiechem.

Kiedy nowicjusz Mikołaj, przyjęty przez starca jako uczeń, pojawił się w klasztorze, to wkrótce stali się oni z Zosią wielkimi przyjaciółmi. Mikołaj nauczył Zosię umiejętności czytania i pisania. A gdy Zosia to

opanowała, to otrzymała szczególny przywilej: ona zanosila liściki od niektórych chorych z prośbami lub pytaniami starcowi Zosimie, a od niego — dostarczała im z powrotem odpowiedzi.

* * *

Pewnego razu Zosia przyszła, jak zwykle, do celi starca Zosimy i zapytała go:

— Powiedz mi: czemu niektórzy ludzie są dobrzy, a inni dobrzy nie są? Dlaczego tak jest? Czyż nie dałoby się coś zmienić, aby wszyscy stali się dobrymi?

— Otóż, Zosieńko, spójrz na różne rośliny. Jedne są mocne, silne, zdrowe, rosną prościutko, wyciągają się ku słońcu. Ale inne są zmarniałe. A niektóre mają wykrzywione pnie... To zależy od wielu czynników: czy nasiono było dobre, na jaką glebę spadło, co działo się wokół, gdy rosło...

Tak samo jest z ludźmi.

Jeśli zacząć właściwie pielęgnować jakąkolwiek roślinę, to będzie się ona lepiej rozwijała. Jednakże pnia drzewa, który przez długi czas rósł krzywo, nie da się już wyprostować...

— Tak! Zrozumiałam! Właśnie teraz pojawiła się u nas taka chora pacjentka z „krzywym pniem”.

Zosia zastanowiła się przez chwilę, a potem zaczęła opowiadać o tej nowej chorej pacjentce, przez którą zaistniały poważne kłopoty dla całego szpitala:

— Jest bardzo głośna, krzyczy na wszystkich, jakby była jedyną osobą na całym świecie! Chce, żeby wszyscy tylko wokół niej biegali i kłopotali się! I wszystko dla niej jest nie tak: i owsianka źle ugotowana, i zastrzyk dla niej bolesny, i łóżko zbyt twarde, i sanitariuszki nie może się doprosić! Jest zamożną

dziedziczką, mieszkała sama przez wiele lat, mnóstwo służących przy niej spełniało każdą jej zachciankę... I przyzwyczaiła się do tego, że wszystko — tylko dla niej... A mówi tak, jakby miała hordę gryzących gzów w ustach! We wszystkim widzi tylko zło! Wszystko i wszystkich karci, wszystko potępia! Wszyscy u niej są głupie, leniwi, nieudolni! Ani wyleczyć jej nie potrafią, ani jak jej dogodzić nie wiedzą!... A do naszego szpitala przywiózł ją jej osobisty lekarz, ponieważ nie wiedział, jak może jej pomóc. A co jest najsmutniejsze, że już się nie da ją uratować, prawdopodobnie wkrótce będzie musiała umrzeć. Jej choroba jest nieuleczalna, kobieta ma już wiele lat, ale o śmierci ciała nawet nie myśli, jakby nie mogło jej się to przydarzyć. Ale nie powiedzieli jej o tym.... A wokół niej same tylko problemy.

— Tata pyta, jak tu jej pomóc?

— Trzeba powiedzieć, że nadszedł jej czas... Oto, Mikołaju, będziesz miał dobrą praktykę! Zosię dzisiaj odprowadzisz — i porozmawiasz.

Zosia się ucieszyła, ponieważ z Mikołajem zawsze było ciekawie.

Zadowolona z obiecaney pomocy ona przekazała starcowi Zosimie przyniesione liściki od chorych.

— Cóż, Zosiu, weźmy się do roboty! — rzekł Zosima.

Zosia usiadła przy stole, uzbrojona w pióro i atrament i przygotowała się do pisania odpowiedzi.

Starzec Zosima wziął pierwszy list, przeczytał go, spojrzał wewnętrznym wzrokiem na przeznaczenie tej osoby, która napisała pytanie, zwrócił kartkę Zosi. Ona odwróciła ją, żeby napisać odpowiedź.

Powoli i wyraźnie wymawiając słowa, Zosima sformułował dwa krótkie zdania. Zosia starannie i dbale zapisała słowa starca.

W ten sposób odpowiedzieli na wszystkie przesłania.

* * *

Wkrótce potem Zosia i Mikołaj udali się do szpitala. Tego dnia przecież mieli jeszcze wiele do zrobienia.

Szpital znajdował się w pobliżu klasztoru. Ścieżka prowadziła przez łagodne wzgórze w stronę rzeki. Wszystko wokół było urzekająco piękne!

Mikołaj, który już dawno nie opuszczał murów klasztoru, cieszył się i majestatem potężnej rzeki, łagodnie niosącej swoje wody, i zielenią wzgórz, i przestworzami błękitnego nieba z lekkimi obłoczkami.

Mała ciepła dłoń Zosi w jego dłoni przepełniała go uczuciem subtelności...

Zosia stąpała obok, też pełna radosnego zachwytu:

— Bardzo kocham to miejsce! Tutaj jest zawsze urokliwie: i zimą i latem... I tak radośnie za każdym razem się robi, gdy tutaj idziesz! To tak, jakbym mogła się odbić — i polecieć nad Ziemią! Czasami nawet tak się bawię: odczuwam, że jak ptak latam i widzę wszystko z góry...

Kiedy już zbliżali się do szpitala, Zosia powiedziała do Mikołaja:

— Wiesz, ta kobieta, ona ma na imię Lizawieta Stiepanowna, — wydaje być bardzo nieszczęśliwą. I ona bardzo się boi śmierci. Dlatego właśnie stara się w ogóle o tym nie myśleć...

Myślałam też tak o sobie: czy boję się umierać — czy nie? Teraz myślę, że ja, jeżeli to właśnie ciało musi umrzeć, nie bałabym się. Oczywiście, jeśli to nie bardzo boli. Ponieważ dusza — przecież nie umiera...

Czy zastanawiałeś się nad tym?

— Dużo myślałem, Zosiu. Sadzę, że teraz też nie przestraszyłbym się, jeśli Bóg wezwałby mnie do Siebie. Ale nie wiem jeszcze, jak powiedzieć o tym innej osobie...

Podążali dalej w milczeniu. Zosia tylko mocniej ścisnęła swoją dłoń dłoń Mikołaja, jakby próbując go wesprzeć.

Weszli razem na sale szpitalną.

— Ach, Zosiu, zagubiona! W końcu się pojawiłaś! Nigdy cię nie ma, kiedy jesteś potrzebna! Od czterech godzin czekam na ciebie, abys poczytała mi książkę! Posyłałam wszystkich, by cię szukali, a cię nigdzie nie ma!

— Dziś nie będę Pani czytała, Lizawieta Stiepanowna. Przyprowadziłam do Pani kogoś...

Zosia wskazała na Mikołaja.

— A kto cię o to prosił? Będzie zebrał o jałmużnę dla klasztoru? Znam tych ludzi: „w imię uzdrowienia duszy i ciała”! Co, zapragnął moich pieniędzy? Nie ma mowy, nie dostaniesz! A może zamierzacie mnie wypowiadać? Nie mogą mnie wyleczyć! A więc niechaj przynajmniej dusza zostanie zbawiona, jeżeli przekażę wszystkie swoje pieniądze cerkwi? Tak? Czyli za pieniądze zostanę zbawiona?! A jeśli nie złożę ofiary, to pójdę do piekła, prawda? Nie znoszę po-pów!

— Nie mogę pani wypowiadać, Lizaveta Stiepanovna: jak na razie jestem tylko nowicjuszem. Starzec Zosima wysłał mnie po to, żebym z panią po-

rozmawiał. A jeśli rzeczywiście zechce pani się wyświadczyć i przyjąć święty sakrament, to będzie można to zorganizować specjalnie.

— Chcą mnie tu pochować, czy co? Czyżbym była umierającą?

— To prawda: pani choroba jest nieuleczalna. A kiedy nadejdzie godzina śmierci, to Bóg zdecyduje... I lepiej być zawsze przygotowanym na tę godzinę.

Lizawieta Stepanowna zbladła i łamiącym się głosem, lecz cicho, a nie krzycząc jak zwykle — zwróciła się do Zosi:

— Czy to prawda? Zosiu, wiem, że nie umiesz kłamać. To prawda?

Zosia skinęła głową w milczeniu.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko urywający się oddech ociężałej starszej kobiety, której dni życia w tym ciele były już policzone...

Zosia cicho wyszła i starannie zamknęła za sobą drzwi sali szpitalnej.

— Mam wyjść, Lizawieta Stepanowna? — zapytał Mikołaj.

— Nie... Usiądź już, jeśli przyszedłeś, zaczynaj swoje kazania! Tylko pieniędzy wy ode mnie nie dostaniecie, żebyście wiedzieli!...

Mikołaj poczuł Bożą Obecność i... nieoczekiwanie dla samego siebie, zaczął opowiadać o tym, jak on sam przyszedł do Boga. Mówił szczerze i w sposób prosty.

Kiedyś specjalnie przybyłem tutaj, do tego miasta, gdzie zupełnie nikt mnie nie znał. Sądziłem, że to dobre miejsce aby położyć kres mojemu ziemskiemu życiu, z którego nie widziałem żadnego pożytku... Myślałem wtedy, że i Boga nie ma, ponieważ wokół jest tyle zła! I często to zło dominuje nad dobrem. I że

nie jest w ludzkiej mocy, by zmienić cokolwiek na tym świecie...

Mikołaj opowiadał dalej swoją historię: o tym, jak dobra kobieta Aksynja uratowała go przed takim końcem. Jak poprosiła, by zaniósł chorego chłopca do starca Zosimy.

Następnie Mikołaj mówił o starcu, o czystości duszy, o Żywym Bogu...

Wydawało mu się, że kobieta przebywając w pewnym w szoku z powodu wiadomości o zbliżającej się śmierci, wcale go nie słucha... Po prostu — nie jest aż tak strasznie, jeśli ktoś jest w pobliżu.

Ale przecież każdy w godzinę śmierci — w pojedynkę ten próg przekracza...

Aczkolwiek gdy Mikołaj zamilkł, Lizawieta Stiepanowna niespodziewanie zapytała:

— I co, chcesz teraz stać się, jak ten starzec?

— Tak, chciałbym nauczyć się pomagać tym, którym można pomóc...

— Cóż, dla mnie raczej jest już za późno na ratunek... W takim razie po co twój starzec cię przysłał?

— Aby pani zdążyła zrobić to, co jeszcze można zrealizować.

— A więc co?

— Nad tym właśnie powinna pani się zastanowić sama... Jeśli pani zada jakieś pytanie, to tyle ile wiem, powiem... Czas, który jest jeszcze darowany, można spędzić z wielką korzyścią dla duszy. Nie mówię o pieniądzach. Jak zarządzić pieniędzmi — to sama pani zadecyduje. Może pani sporządzić testament.

Przez pewien czas oboje milczeli...

— Wiesz, co wymyśliłam, Mikołaju? Zapiszę swój majątek Zosi. Chociaż jestem paskudną i kłótliwą starą kobietą, ale rozumiem co-nieco w ludziach i

wiele widziałam w swoim życiu... Zosia potrafi czynić dobro! Czy uważasz, że to Bóg tak nią kieruje? A chcesz też twojej Aksinii zapisać pieniądze? Zapewne nie podziękowałeś jej tak naprawdę? Czy ona będzie umiała rozporządzić nimi?

Niewielka była korzyść z mojego życia... Niech więc chociażby ze śmierci będzie pożytek...

... Rozmawiali jeszcze przez długi czas...

Wiele kwestii ze względu na bliskości godziny śmierci stały się bardziej przejrzyste dla kobiety: co jest ważne, a co nie ma znaczenia...

Od tamtej pory Lizawieta Stiepanowna bardzo się zmieniła. Przestała dręczyć wszystkich swoimi zachciankami i kaprysami, uporządkowała swoje ziemskie sprawy i rozpisała szczegółowy testament.

I jej stan przeobraził się dość istotnie: bowiem przed Bogiem poczuła się jako dusza i zaczęła przygotowywać się do przejścia do innego życia.

* * *

Pewnego razu, gdy starzec Zosima i Mikołaj byli tylko we dwoje, Zosima powiedział:

— Czas na mnie, żeby odejść...

Powiedział to cicho, ale wyraźnie.

— Dokąd? — nie zrozumiał Mikołaj.

— Na drugą stronę... Tam, dokąd jestem teraz wzywany przez Ojca Niebieskiego...

— Czemu tak mówisz, przecież jesteś całkowicie zdrowy?!

— Dlaczego konieczne odchodzić w chorobie, bólu lub cierpieniu? Można odejść z radością i gotowością na inny stan duszy, na życie bez zniszczalnej cielesnej powłoki!

Często niemoce ciała są dane człowiekowi, aby ułatwić to przejście duszy. Mianowicie, aby dusza sama zgodziła się z tym, że rozstanie się z ciałem będzie dobrodziejstwem. I żeby nie trzymała się kurczowo życia cielesnego, ale w pełni zwróciła się ku życiu w innym świecie.

Ale jeśli dusza podporządkowała zachcianki umysłu i ciała, jeśli Bóg jest zawsze blisko, to wtedy można przyjąć radośnie śmierć doczesnej powłoki!

A teraz, Mikołaju, puść mnie...

— Ale jak? Co znaczy „puść”? Czyżbym cię trzymał? Jak mógłbym przestać cię kochać i życzyć ci śmierci?

— Przywykłeś kochać mnie w tym ciele, słyszeć słowa idące od ciała, Bożą miłość, płynącą przez moje ciało, odczuwać, miłością wzajemną to cielesne obramowanie obejmować...

Mówisz: „Nie mogę cię nie kochać!”. Ale czy śmierć ciała może być przeszkodą dla miłości? Odejdę, a ty przecież nie przestaniesz mnie kochać? Ja też nie zaprzestanę cię kochać.

Dlaczego ludzie ronią łzy, gdy umarło ciało człowieka, przez nich kochanego? Ponieważ nie widzą duszy, nie mogą jej objąć, porozmawiać... Postrzegają śmierć ciała... jako rozstanie się.

Bywa również, że użalają się nad sobą z powodu swojej samotności i utraty...

Jednak, przykładowo, dla pierwszych chrześcijan śmierć nie była tragedią, jak często ludzie ją obecnie postrzegają! Za progiem śmierci — spodziewali się oni właśnie szczęścia zjednoczenia się duszy z Bogiem!

Oni czekali na to połączenie się z Bogiem, Którego uczyli się kochać całym swoim sercem! Kochać

— bardziej niż wszystko inne, co było i mogłoby jeszcze być w ich ziemskim życiu!

Poza tym pierwsi chrześcijanie przyjmowali chrzest nie z tego powodu, że wszyscy wokół zostali ochrzczeni i jest tak przyjęte! Przecież wtedy, przeciwnie: wszyscy dookoła żyli inaczej... Ale ten, kto chciał przyjąć chrzest — czynił to, ponieważ chciał kształtować swoje życie zgodnie z Nauczaniem Jezusa! Pragnęli oni żyć w nowej wewnętrznej czystości i pięknie duszy, przestrzegając przykazań Jezusa!

Wiele już się nauczyłeś, a gdy odejdę, nauczysz się jeszcze więcej... Miłość, która jest między nami, — naucz! Bóg — naucz!

— Skąd wiesz, że nadszedł już czas?

— Pan Bóg powiedział! Wzywa...

— Czy powinienem powiedzieć o tym przeorowi?"

— Nie, nie mów: nie ma potrzeby...

* * *

Ktoś zapukał do drzwi...

— Oto dla nas radość! Pan przyprowadził do nas Zosię! — uśmiechnął się Zosima.

Dziewczyna wpadła do celi, cała emanująca promienną radością, świeżością, subtelnością! Pasma białło-złocistych włosów wydobyły się spod chustki... Trzymała w rękach kosz pełen brusznic ...

— Proszę — przyniosłam jagódek! Sama je n zbierałam! Spójrzcie jak dużo!

Starzec Zosima spróbował brusznic. Jadł powoli, z wyrazem błogości na twarzy, jakby przyjmował ostatnią komunię świętą. Czule przytulił Zosię:

— Dziękuję Ci! Pocieszyłaś mnie poczęstunkiem! ...

Zosia chciała zostawić wszystkie brusznicę Zosimie i Mikołajowi, ale starzec poprosił:

— Odsyp dla nas z Mikołajem trochę na talerz, a resztę zanieś do szpitala. Powiesz, że starzec tak zarządził: od tych jagód przybędzie zdrowia tym, którzy je posmakują.

Potem we troje siedzieli razem przez długi czas, ocienieni Bożą Obecnością. Nie było żadnych rozmów ani pytań... Ale było tak, jakby oni objęli się duszami!

Kiedy Zosia chciała już odejść, Zosima powiedział:

— Ponadto powiedz mamie i tacie, że jutro usłyszą wieść — i że powinni oni dostrzec wielką radość w tej wiadomości. Zapamiętasz to?

— Przekażę słowo w słowo, nauczyłeś mnie, jak można dokładnie zapamiętać ważne słowa! W takim razie — ja pobiegnę?

— No to idź... Idź z Bogiem, Zosieńko!

* * *

Starzec Zosima zmarł...

Ta wieść szybko rozprzestrzeniła po całym małym prowincjonalnym miasteczku...

Nadieżda, matka Zosi, nie mogła powstrzymać łez. Jej mąż, doktor Fiodor, głaskał ją, płaczącą, po głowie i czule przytulał, a Nadieżda wciąż powtarzała przez łzy:

— Jak to możliwe? Starzec Zosima zmarł... Był przecież całkiem zdrowy!...

Przybiegła ich córka. Nadieżda, ocierając łzy chusteczką, powiedziała:

— Zosiu, Zosieńko, starzec Zosima zmarł wczoraj...

Zosia zamarta, jakby na chwilę wstrzymało swój bieg to promienne złociste słoneczko, które w ciągłym ruchu zawsze spieszyło, by dokonać wszystkich swoich dzieł:

— Więc to o tym on mówił wczoraj: że otrzymacie wiadomość, z której powinniście się uradować... Ale nie zrozumiałam..., nie domyśliłam się...

— Mamo, tato! Wiedział już wszystko wczoraj! I chciał, abyście nie płakali za nim, ponieważ jest z Bogiem i powinno się być mu dobrze! I musimy się z tego cieszyć!

I tymi słowy Zosia przytuliła swoich rodziców z takim ciepłem i miłością, jakby była starsza, mądrzejsza i silniejsza od nich...

Fiodor pochwycił ją w ramiona, dziewczynka jeszcze mocniej objęła swoje najukochańsze osoby. Przez długi czas stali w milczeniu, mocno się obejmując.

Następnie udali się do domu...

Będąc zdumieni nie niedzieliącymi słowami córki, Fiodor i Nadieżda patrzyli na swoją Zosię.

Nadieżda zapytała:

— Czy wcale nie jest ci smutno, Zosieńko, że nigdy już nie pobiegiesz do starca do jego celi? Komu teraz będziesz zadawała swoje pytania? ..

— Jest mi też trochę smutno...— odpowiedziała Zosia po chwili milczenia. Ale sądzę, że on znajdzie sposób, jak odpowiedzieć na moje pytania, tak abym zrozumiała. Kiedy byłam bardzo mała i głupia — zawsze wynajdował, jak mi to wytłumaczyć, żeby było jasne. Ot i teraz z pewnością wymyśli!

Mamo, tato! Patrzcie! Oto przecież on idzie obok nas — cały ze Światła!

Wiedziecie, co teraz mówi? Powiada: „Bóg jest zawsze obok nas! I Bóg odpowie na wszelkie pytania, tylko należy kochać i uczyć się słuchać rad Bożych!”

Okazuje się, że mogę go teraz słyszeć i widzieć, ale ludzie nie wiadomo dlaczego mówią, iż on umarł...

* * *

Nadeszła wiosna. Drzewa w ogrodzie klasztornym rozkwitły tego roku zgodnie. Wszystkie były obyspane białymi i jasnoróżowymi kwiatami. Kojący aromat! Spokój! Urzekające piękno!

Mikołaj stał w ogrodzie niedaleko celi starca Zosimy. Jutro będzie musiał przyjąć postrzyżyny mnisze, a następnie — kultywować to, co czynił starzec Zosima.

Przeor, archimandryta Ignacy, jest głęboko przekonany, że wszystko, co było przy Zosimie powinno być kontynuowane. Więc trzeba będzie przyjmować przybyszy, wysłuchiwać ich, udzielać rad...

... Mikołaj przypomniał sobie, jak starzec uczył go obcowania z gośćmi... Owszem, coś już się udawało. Aczkolwiek było to łatwe, gdy przy nim był Zosima. Mikołaj wiedział, że starzec nie dopuści takich błędów, które mogłyby wyrządzić krzywdę odwiedzającemu. Zosima coś tam poprawi, podpowie, jeśli coś jest nie tak... A jak teraz? Czy podołam, gdy starca przy mnie nie ma?

Albo Zosima jest, tylko że niewidoczny?

Mikołaj rozważał to, stojąc przy drzewku wisieniec, które kiedyś zasadzili ze starcem Zosimą. Podziwiał pierwsze w jej życiu kwiaty, gładząc na razie jeszcze cieniutki pień. Nie było smutku. W sercu tkwiło ciepło, jak podczas rozmów ze starcem.

Przypomniał sobie tę ich rozmowę, kiedy sadzili to drzewko wiśni.

Zosima powiedział wtedy: Kiedy zakwitnie, już mnie tu nie będzie! Tak radośnie to powiedział!

— To znaczy, że tego nie zobaczysz? — zasmucił się wtenczas Mikołaj.

— Myślę, że zobaczę! Czy Bóg zacząłby tworzyć takie piękno na naszej Ziemi, gdyby nie mógł Sam go widzieć ze Swojej Siedziby albo jakoś też inaczej...

Przykładowo, Pitagoras nazwał cały wszechświat słowem „kosmos”, a słowo to oznacza po grecku „piękno”, „harmonię w porządku świata”!

— Czyżbyś czytał pisma starożytnych Greków?”

— Owszem. Przeczytałem wiele i odniosłem z tego nie małą korzyść. Dużo mądrych ludzi już przed Jezusem pisało o Bogu, o czystym i moralnym życiu. A ponieważ niewielu ludzi teraz czyta te dzieła, to może jest mniej dążenia do cnoty w ludziach...

A co jest cnotą? To jest czynienie dobra: A to zarówno dobre myśli, jak i dobre słowa oraz czyny, które utwierdzają dobro! Czy naprawdę myślałeś, że czytałem tylko jedną książkę przez całe życie? — Zosima zaśmiał się młodzieńczo i radośnie! — Myślę, że również ci ludzie, którzy pomagają Bogu tworzyć piękno na Ziemi, nie zostaną pozbawieni możliwości oglądania go... Zresztą mniejsza o to! Wielkie cudowne dobrodziejstwo czeka na tych, których Bóg do Siebie dopuszcza! Musimy więc popracować, aby pomnożyć dobro na Ziemi, wykreować piękno zarówno w uczynkach, jak i w duszach... Abyśmy również byli godni wstąpienia do Królestwa Ojca Niebieskiego!

W tym czasie Mikołaja zawołano:

— Ludzie tu przyszli do starca Zosimy, przyprowadzili ślepiuteńskiego chłopca, nie chcą odejść, nie wierzą, że starca nie ma...

— Słusznie, że nie wierzą! — odpowiedział Mikołaj radośnie. — Zawołaj ich!

Młoda, smukła, pięknie i zamożnie odziana kobieta zmierzała do celi, trzymając za rękę chłopca w wieku około dziesięciu lub jedenastu lat. Przytrzymywała go tak, jakby ona sama próbowała zrobić za niego każdy krok, żeby się nie potknął, ani nie uderzył.

Gdy ujrzała mężczyznę o szerokich ramionach i mocnej budowie ciała w szacie nowicjusza, zamiast siwowłosego starca, wzruszyła ramionami z niezadowolaniem...

Mikołaj zaprosił ich do celi, mówiąc:

— Na razie porozmawiajmy z panią. Proszę wejść i usiąść.

Kobieta posadziła syna na ławce pod ścianą i usiadła sama. Uniosła w kierunku Mikołaja wzrok, ale patrzyła gdzieś obok niego. W końcu odezwała się:

— Cóż, proszę mówić, jeśli ma pan coś do powiedzenia...

Mikołaj odczuł ten stan, gdy Światło Ducha Świętego pozwala widzieć dusze i wszystko, co się z nimi dzieje.

On widział, że ona przyszła prosić o cud, ale sama nie wierzy w możliwość uzdrowienia przez Moc Bożą. I w niej samej tkwi bariera, która nie pozwala wyleczyć chłopca...

Ponownie uważniej spojrzał na chłopca... Spostrzegł też to, że chłopiec, który czuje się chory, nie-

szczęśliwy i nie ośmiela się zrobić ani kroku bez wsparcia dorosłych, nie może zostać uleczoney wprost teraz... Jednak choroba może się wycofać, bardzo łatwo można ją usunąć, jeśli zmienić tę sytuację...

„Jak zatem znaleźć właściwe słowa, aby zrozumiała? Przecież nie chce, nie jest gotowa usłyszeć radę... Podaj jej świętego starca...”

Mikołaj wewnętrznie poprosił Boga o pomoc tym ludziom, a następnie jeszcze pełniej wstąpił w połączenie z Boskim Światłem.

W tym momencie do celi wpadła zdyszana Zosia i — jakby światło słoneczne zaczęło mienić się blaskiem, roziskrzyło się wszędzie.

Ukloniła się, prosząc o wybaczenie, że przeszkodziła w rozmowie.

— Zosiu, czy mogłabyś pospacerować z chłopcem przez godzinkę po ogrodzie, a my porozmawialibyśmy z jego mamą.

Zosia natychmiast z radością się zgodziła:

— Jak masz na imię?

— Kostia.

Matka Kosti, jak gdyby ptak, który skrzydłami chroni swoje dziecko, spojrzała z trwogą na dziewczynkę i powiedziała:

— On jest niewidomy, nie widzi w ogóle! Proszę, uważaj dziewczyno, żeby nie stało mu się nic złego...

Zosia zdecydowanie podeszła i wzięła Kostię za rękę.

Proszę o niego się nie bać, wszystko będzie dobrze!

I już do Kosti:

— Chodź, pokażę ci coś niesamowitego!...

— W jaki sposób? Przecież nie widzę!...

— No to się dowiesz! Chodźmy!

Matka Kosti z niepokojem podążyła wzrokiem za dziećmi...

Sporo wysiłku poświęcił Mikołaj na to, aby ona zaczęła nie tylko po prostu słuchać, lecz słyszeć jego słowa.

Najpierw wypytał o chorobę chłopca. Dowiedział się, że stało się to po upadku, kiedy poślizgnął się na mokrych balach i uderzył się w głowę.

Udali się do wielu znanych lekarzy. Same oczy nie są uszkodzone. Ale lekarze nie mogą przywrócić wzroku...

Mikołaj sam również dobrze widział wzrokiem swojej duszy, że uszkodzenie zakończeń nerwowych można zlikwidować — nie przy pomocy medycznej, ale jedynie Bożej... Ale nie dozwala mu się teraz tego zrobić...

Mikołaj zaczął mówić o tym, że chłopcu można przywrócić wzrok, ale konieczne jest, aby ten ciepłarniany styl życia, który prowadzi pod stałą opieką, został zmieniony. Aby wzmocnić jego organizm — należy go hartować: uczyć pływać, biegać i jeździć konno. A co najważniejsze — żeby Kostia sam zaczął dbać o innych, aby nie czuł się nieszczęśliwy, ułomny, nieuleczalnie chory, ale zaczęłby robić wszystko, co w jego mocy, aż do granic swoich możliwości, przy czym cały czas trzeba starać się tę granicę przesuwąć. A wtedy...

Rozmowa raczej się skończyła...

Mikołaj rozumiał, że należałoby powiedzieć lub zrobić jeszcze coś, aby wypowiedziane słowa „zeszły na odpowiednią głębokość” w rozumieniu współroz-mówczyni.

Starzec Zosima w takich przypadkach zazwyczaj udzielał jakieś prostej rady: „należy wykonać takie oto działanie”...

Mikołaj rozważał opcje: „wziąć Kosti psa, żeby stał się przyjacielem, albo koń mógłby być jeszcze lepszy... Pewnie trzeba będzie jeszcze porozmawiać z samym chłopcem...”

Otworzył zatem drzwi celi i zawołał:

— Zosiu, Kostia!

W ogrodzie rozbrzmiewał zanoszący się dziecięcy śmiech.

— Chodź, łap mnie! — Zosia uciekała, a Kostia biegł za nią, sprawnie omijając pnienie drzew!

Kiedy Zosia usłyszała wołanie Mikołaja, to poddała się i Kostia ją złapał!

Szli oni... obok siebie, bez trzymania się za ręce!

Oczy chłopca wciąż nie widziały, ale cud jednak się zdarzył!

Kostia pierwszy wszedł pierwszy i udał się do matki:

— Mamo, Zosia nauczyła mnie patrzeć i widzieć w szczególny sposób: duszą! Bawiliśmy się nawet w berka — a ja ją złapałem! Teraz ciebie też potrafię widzieć! Ona powiedziała, że wkrótce wyzdrowieje całkowicie, ponieważ jeśli dusza stanie się widzącą, to oczy ciała też zaczną widzieć. Nauczył ją tego starzec Zosima!

Matka Kosti wybuchnęła płaczem i przytuliła syna...

On zaś wciąż próbował jej wytłumaczyć, jak świetnie nauczyła go Zosia.

„I oto właśnie cud!” — uśmiechnął się radośnie Mikołaj...

Potem, gdy wszyscy się trochę uspokoili, Zosia zwróciła się do Mikołaja:

— Tata właściwie wysłał mnie do ciebie z pewną sprawą. Przedwczoraj przy wejściu do szpitala znaleźliśmy dziewczynkę, w wieku około dwóch lat. Podrzucili ją. Kartka jest przy niej, że rodzice zmarli, a więc nie ma nikogo, kto mógłby opiekować się dzieckiem. Nazywa się Oleńka. Ładniutka! Oczęta niebieskie, złote loczki, uśmiecha się! Tylko prawie nie mówi: zna mało słów. Oczywiście jest, że rzadko z nią rozmawiali: najwyraźniej nie było komu. Mój tata prosił znaleźć dla niej dobrych rodziców, aby uniknąć oddania jej do sierocińca.

I jakby olśnieniem zapaliła się Zosia od radosnej myśli:

— A ty, Kostia, chciałabyś mieć siostrzyczkę? Proszę panią, dziewczynka jest taka słodka, zdrowiutka! Tata ją zbadał, a on jest bardzo dobrym lekarzem! Chodźcie pokażę wam ją.

Matka Kosti, głęboko poruszona wszystkim, co się wydarzyło, natychmiast się zgodziła. Kostia zdecydowanie powiedział, że z łatwością nauczy Oleńkę dobrze rozmawiać, a więc powinni koniecznie zabrać dziewczynkę.

I Zosia, szczęśliwa, poprowadziła nową matkę i braciszka, by spojrzeć na Oleńkę...

Mikołaj pojął, że wszystko połączyło się w tym łańcuchu losów, zarządzanych przez Boga. Westchnął z radością, podziękował Bogu za cudowną pomoc objawioną przez Zosię!

Potem wyszedł w ciszę ogrodu, gdzie jeszcze do niedawna rozbrzmiewały radosne głosy dzieci.

Pomyślał o tym, ile rzeczy wciąż jeszcze zrobić nie potrafi...

I zobaczył, składające się ze Światła, łagodnie uśmiechnięte oblicze starca Zosimy:

„Trudź się, synku! Wszystko już ci się udaje, z Bożą pomocą!”